ROK IV. GRUDZIEŃ TOM XII (XLII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

1904

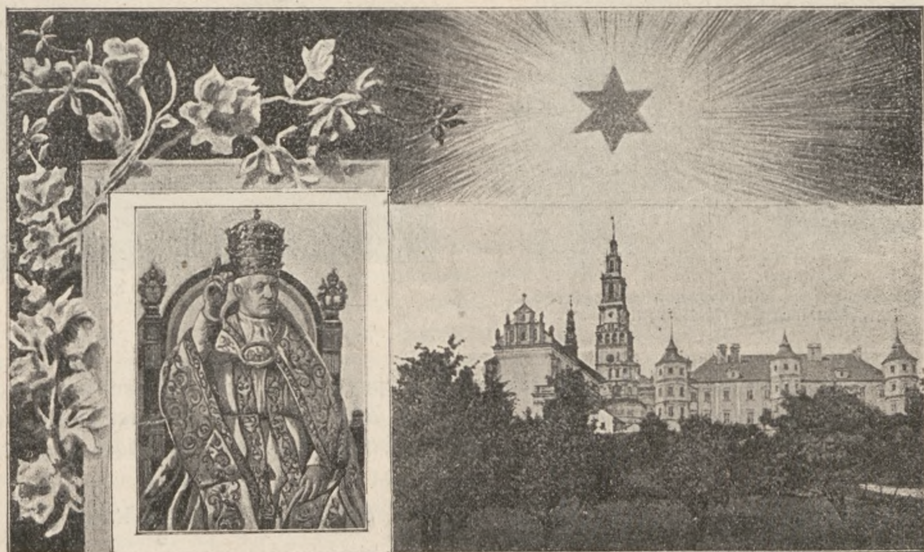
Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Ноября 1904 года.

Treść tomu XII, grudniowego 1904 r.,

ogólnego zbioru XLII.

ILLUSTRACYE:





Jego Swiętobliwość Papież Pius X

„Dzwonek Częstochowski"

12 dużych tomów rocznie

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

pod redakcyą **ks. Józefa ADAMCZYKA.**

Nie znaleźlibyśmy innych słów na wyrażenie zadań, które sobie redakcya „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO" postawiła, nad poniżej zamieszczone w pięknym wierszu księdza Pawła Korwina-Kamieńskiego, kanonika katedralnego Łucko-żytomierskiego:

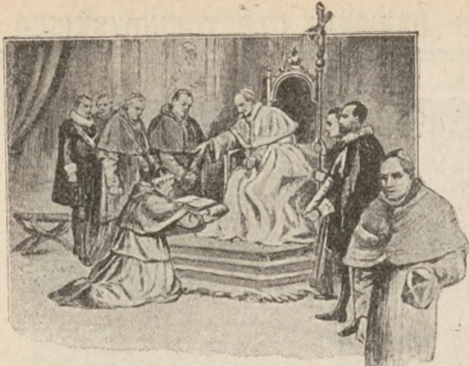
„Dzwonku Częstochowski" dzwoń,
Święte echa roznieś w dal,
Z szumem wiatru, z szumem fal
Od pokuszeń chmur nas broń!

„Dzwonku Częstochowski", dzwoń,
O Maryi cudach głoś,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznieś woń!

„Dzwonku Częstochowski", dzwoń,
Głoś Maryi chwałę w świat,
A ojczystej ziemi szmat
Ufną ku niej wzniesie dłoń!..

Tak, na chwałę Najświętszej Maryi Panny, która swój ziemski tron na Jasnej-Górze w Częstochowie sobie obrała, na cześć Tej Królowej Nieba i ziemi pragnie „Dzwonek Częstochowski" — jak za lat poprzednich wdzięcznie i serdecznie dzwonić, aby wróżyć wiernym Czcicielom Maryi dobrą przyszłość, nieść słowa pociechy i ukojenia, aby tak w pałacu, jak w ubogiej chacie być drogim gościem, wnosić błogosławieństwo i łaskę Bożą.

Za zbożną pracę redakcya „Dzwonka Częstochowskiego" zaszczycona została błogosławieństwem Ojca Świętego Leona XIII i następcy Jego najmiłościwiej dziś panującego papieża Piusa X, a także najdostojniejszych pasterzy naszych księży biskupów. To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na redakcyę i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na wszystkic czytelników „Dzwonka Częstochowskiego".



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **„Dzwonka Częstochowskiego“.**



Kościół **Świętego Piotra** w Rzymie.

Nie możemy się też powstrzymać, aby nie przytoczyć tutaj wielce łaskawego dla nas listu Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski" w świat wychodzi.



Jego Ekscelencja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki, biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę.

Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Te wysokie dobrodziejstwa, odznaczenia i uznanie osób, kierujących sprawami Bożemi na ziemi, a zarazem wielką poczytność „Dzwonka Częstochowskiego", jaką się cieszy wśród licznych i szerokich warstw społecznych, uważamy za niezbity dowód łaski Matki Boskiej Częstochowskiej, Orędowniczki naszej i Opiekunki.

Kongres ku czci Maryi, Matki Zbawiciela Świata, odbyty we Fryburgu, gdzie zgromadzili się dostojnicy Kościoła z całego świata Katolickiego, przyznał redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” wysokie odznaczenie, t. j. medal złoty z wizerunkiem Niepokalanej Panienki.



Medal złoty, którym nagrodzono redakcję „Dzwonka Częstochowskiego“ na kongresie ku czci Maryi, Królowej Niebios, odbytym we Fryburgu.

O ile te tyle zaszczytne odznaczenia skromnem i wdzięcznem przyjęliśmy sercem, o tyle nie mniejszą radością przejmują nas ciągłe dowody miłości ze strony naszych Czytelników, których liczba wzrasta z dnia na dzień.

Listy te, najczęściej twardą, spracowaną pisane ręką, są dla nas najmilszą zapłatą za trudy i najmilszą lekturą. Jak u źródła w dzień skwarny, tak można orzeźwić ducha, czytając te korespondencye, pełne niezgłębionej miłości Bożej i bliźniego, hartu i męstwa iście chrześcijańskiego, wiary i ufności w miłosierdzie Boże.

Każdy z tych przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego” radby, aby jak najdalej i najszerzej głos jego rozbrzmiewał i każdy pragnąłby jak największego rozpowszechnienia pisma na cześć i chwałę Matki Boskiej Częstochowskiej poświęconego. O, bo nie wszyscy jeszcze ten głos od stóp Jasnej-Góry rozbrzmiewający — słyszą... A głos to krzepiący, który koi bóle, wzywa do zgody braterskiej, wskazuje drogę do najwyższego szczęścia — zbawienia wiecznego...

Wszyscy więc, którzy słyszycie ten dzwon Maryi, Matki Bożej, w cudownym obrazie na Jasnej-Górze w Częstochowie umiłowanej, nie bądźcie nań głusi!..

Przyjmijcie w progi swoje „Dzwonek Częstochowski“, jako dobrego przyjaciela i doradcę, zalecajcie to pismo innym, a spełnicie przez to czyn dobry, który Bóg pobłogosławi, — przyczynicie się, jako dobre dzieci, do rozpowszechnienia czci i chwały Najświętszej i najlepszej Matki naszej, Królowej Nieba i Ziemi.

U STÓP JASNEJ-GÓRY.

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“ w roku 1905 zawierać będzie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne z obszernem uwzględnieniem spraw Kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

W roku 1905 „Dzwonek Częstochowski“ drukować będzie opowieść historyczną z czasów ostatniego prześladowania chrześcijan za panowania Rzymian p. t. **„ŻONA CEZARA“**

A także nader zajmującą pracę ozdobioną licznemi illustrac., p. t. **„BÓG TAK CHCE!“**

Będą to wzruszające opisy pochodów, walk, bitew i wiekopomnych wydarzeń z czasów wojen krzyżowych, gdy zatknięto krzyż na murach Jerozolimy i utworzono tamże królestwo chrześcijańskie, aby strzegło Grobu Pańskiego.

W celu przypomnienia Czytelnikom przeszłości naszej drukować będziemy piękną pracę, ozdobioną licznemi illustracyami p. t.

„DAWNE NASZE KLASZTORY i ŚWIĄTYNIE“.

W dalszym ciągu drukować będziemy:

1) Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (Opisy prześladowań, jakie znoszą głoszący słowo Boże w krainach pogańskich: Chinach, Indyach, Syamie, wśród murzynów, wśród ludożerców, pod biegunem i t. p.). 2) Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa (najobszerniejszy z istniejących). 3) Życiorys księdza Augustyna Kordeckiego (najobszerniejszy z dotychczas znanych); 4) Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach. 5) Boga Rodzica naszą Matką przez ks. Wł. F. i t. d.

Dla prenumeratorów całorocznych wspaniałe **Premium na rok 1905:**

Piękne, kilkudziesięciu cennemi illustracyami ozdobione

„ALBUM PAMIĄTKOWE“

budowy nowej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Będzie to miła i droga dla wszystkich pamiątka mającego się odbyć w roku 1905 poświęcenia wspaniałej wieżycy, bogatej w tyle wspomnień, drogiej i blizkiej naszemu sercu.

Album to otrzymają wszyscy całoroczni prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“. Życzący sobie otrzymać premium pocztą dopłacają za opakowanie i przesyłkę **30** kop.

Dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ redakcya ofiaruje po zniżonej cenie książkę:

OBRAZY W SALI RYCERSKIEJ NA JASNEJ-GÓRZE

ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanemi illustracyami.

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze“ za egzemplarz ozdobnie oprawny rub. 1 kop. **50**, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“, żądających wprost z redakcyi, tylko **1** rb. i kop **20** na przesył. poczt.

Wizerunki Dostojników Duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze.

Cena zniżona dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ — **50** kop., z przesyłką — **67** kop.

Prenumerata **„Dzwonka Częstochowskiego“** wynosi: w Częstochowie rocznie rub. **3**, półrocznie rub. **1** kop. **50**, kwartalnie **75** kop. Z przesyłką pocztową rub. **4**, półrocznie rub. **2**, kwartalnie rub. **1**. W Austryi: rocznie koron **12**, półrocznie koron **6**. W Niemczech: rocznie marek **10**, półrocznie marek **5**. W Ameryce rocznie **2** dolary **50** centów. Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. **12**, na połowie str. rb. **8**, na czwartej części stronicy rub. **5** i za wiersz **75** kop.
Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają **10** kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Filja w Warszawie: ul. Mokotowska Nr. 47.

Redaktor i Właściciel: **ks. Józef Adamczyk.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 ноября 1904 года

TOW. ORGELBRANDA S-ów WARSZAWA



Narodzenie Dzieciątka Jezus.

2

Przy Żłobku Świętym

Opowieść wigilijna.

W murze zachodnim, opasującym Jerozolimę, znajdowała się brama Betleemska, inaczej Jopejską zwana, a przed nią plac rozległy, na którym za dni Salomona odbywał się wielki handel. Uczestniczyli w nim kupcy nawet z Egiptu, nawet bogacze z Tyru i Sydonu. Od śmierci Salomona minęło lat trzy tysiące, a jednak targowisko rzeczone wciąż się utrzymywało.

Owoż dnia pewnego, o godzine rannej, na targowisku wspomnianem wrzał ruch, tłoczyły się różnobarwne tłumy, a wśród nich zwracali uwagę mężczyzna i kobieta na osiełku. Widocznie byli to podróżni. Mężczyzna, stojąc przy osiełku, wspierał się na długim, zakrzywionym koszturze, ubiorem nie różnił się od innych Żydów. Broda, gęsto posrebrzona siwizną, wskazywała, że już lat pięćdziesiąt życia przekroczył. Stał, rozglądając się niepewnie i ciekawie, a to znów świadczyło, że jest tu obcym. Niewiasta, siedząca na osiełku, miała na sobie szatę z materyi wełnianej, a głowę i szyję, zwyczajem mieszkańców Wschodu, osłoniła białym welonem. Do podróżnego zbliżył się poważny mąż i zapytał:

-- Jeśli mnie wzrok nie myli, jesteś Józef z Nazaretu?

Podróżny spojrzał na mówiącego, twarz mu się rozjaśniła:

— Pokój tobie, rabi Samuelu, druhu mój! — rzekł.

— Pozdrawiam cię wzajem! — odparł rabi Samuel, kładąc rękę na piersi; następnie, pochylając głowę ku kobiecie, która odchyliwszy nieco zasłony ukazała oblicze prawie jeszcze dziecięce, dodał: — Pokój tobie, twemu domowi i wszystkim przyjaciołom twoim...

Obaj mężczyźni podali sobie ręce, jakby je mieli do ust podnieść, lecz w ostatniej chwili cofnęli uścisk, każdy pocałował dłoń swoją i do czoła ją przyłożył.

— Dokąd dążycie? Może do Joppy? — zapytał rabi Samuel.

— Do Betleemu tylko — odparł Józef.

Oblicze Samuela sposępniało, odezwał się z odcieniem pogardy:

— Rozumiem! Urodziłeś się w Betleemie i dążysz tam z córką, aby się zapisać w księgi, wedle rozkazu cesarza... Tak! tak! Dzieci Jakuba są w niewoli, jak niegdyś w Egipcie, ale, niestety! nie mają teraz Mojżesza ani Jozuego! Rozwiała się nasza potęga!

— Ta niewiasta nie jest moją córką — rzekł Józef. — Jest dzieckiem Joachima i Anny z Betleemu, o których słyszeć musiałeś, gdyż słynęli jako cnotliwi i bogobojni.

Rabi Samuel schylił głowę z uszanowaniem.

— Nieinaczej. Znałem ich dobrze, ród wiedli od Dawida.

— Już nie żyją — mówił Józef. — Zmarli w Nazarecie i zostawili posiadłość. Córka ich, nie mogąc inaczej objąć posiadłości, musiała, według Zakonu, zaślubić najbliższego krewnego. Jest zatem moją małżonką.

Znajomi rozmawiali czas niejaki, poczem Józef z małżonką Maryą udali się w dalszą podróż.

Skwar dopiekał, więc Marya zdjęła zasłonę, a wtedy ukazała się jej twarz cudnie piękna, opromieniona urokiem świętej czystości. Nie miała więcej nad lat piętnaście. Często zwracała oczy ku niebu, usta zaś jej szeptały modlitwę. Józef poglądał na Nią z czcią wielką.

Przebywszy równinę i wzgórze Mar Elias, stanęli w Betleemie. Tu zastali natłok ludzi tak wielki, że Józef począł się obawiać, zali znajdzie pomieszczenie chociażby tylko dla Maryi. Tłumy owe ściągnął spis ludności, dokonywany z rozkazu cesarza rzymskiego. Józef zwrócił się do jedynej w mieście gospody, lecz po za bramę dostać się nie mógł, gdyż wszystkie zakąty dziedzińca szczelnie były wypełnione podróżnymi. Przed bramą, na pniu cedrowym, siedział stróż gospody; włócznię swoją wsparł o mur, przy nogach jego leżał pies.

— Pokój z tobą! — rzekł Józef.

— Czego mnie życzysz, ja tobie życzę — odparł stróż — a co posiądziesz, niech się mnoży tobie i dzieciom twoim.

— Urodziłem się w Betleem, tu więc musiałem stanąć do spisu. Czy nie znajdzie się w gospodzie jaki kątek dla nas?

— Chyba sam widzisz, że o tem mowy niema...

— Jestem Józef z Nazaretu, tu się znajduje dom ojców moich, bo wywodzę się z rodu Dawida.

Dla potomków Dawida wszystek Izrael żywił cześć wielką — Józef tedy próbował, zali to nadmienienie nie wyjedna mu miejsca dla spoczynku. Stróż powstał, skłonił się z uszanowaniem i rzekł:

— Rabi! Drzwi tej gospody nigdy się nie zamknęły przed dobrym człowiekiem obcym, a cóż dopiero przed rodakiem? A jednak dziś muszę nawet potomkowi Dawida powtóryć: niema miejsca. I nie znajdziesz miejsca w całem mieście. Wszystkie domy przepełnione od dachów do piwnic.

— Nie dbam o siebie, ale o małżonkę — prosił zaniepokojony Józef. — Młoda jest, wątła, a noce teraz chłodne...

Stróż zamyślił się, po chwili rzekł:

— Miejsca w gospodzie udzielić wam nie mogę, ale bez dobrej rady was nie puszczę. Pójdźcie za mną.

To powiedziawszy, prowadził podróżnych ku wzgórzom wapiennym, wznoszącym się za gospodą.

— Prowadzisz nas do groty? — zagadnął Józef.

— Tak. Grota owa była niegdyś schronieniem świętego przodka waszego, Dawida. Uprowadzał on tu przed niebezpieczeństwem trzody swoje z łąk, niżej nas leżących. Potem, będąc królem, często do tej groty zazierał i długie w niej chwile na świętobliwem rozmyślaniu spędzał. Nic się też w grocie od jego czasu nie zmieniło.

Niebawem stanęli przed grotą skalną, do której przowadziło coś w rodzaju przedsienia, skleconego z drzewa i zaopatrzonego w wielkie wrota. Sama grota była około czterdziestu stóp długa, dziesięć stóp wysoka a piętnaście szeroka. Okna oczywiście w niej nie było, światło padało przez drzwi, to jest przez przedsienie, lecz dostatecznie oświecało wnętrze. Na ziemi leżały resztki siana i słomy, przy ścianach stały nizkie żłoby, bez żadnych ogrodzeń.

— Oto, co wam ofiarować mogę — rzekł stróż. — Wygody tu mieć nie będziecie, ale w każdym razie lepiej tu spocząć, niż pod gołem niebem.

— Miejsce to świętem jest... — szepnęła Marya.

Stróż odszedł, Józef zajął się uporządkowaniem groty.

Przed wieczorem ucichł gwar, dobiegający z miasta, w tym bowiem czasie każdy Żyd prawowierny modlił się do Jehowy, a następnie udawał się na spoczynek.

Cisza uroczysta trwała do północy. Wtedy w Betleemie wołać zaczęto:

— Wstawajcie! Coś dziwnego się dzieje! Niebiosa goreją!

Ludzie powybiegali z domów i ze zdumieniem oglądali zjawisko nadzwyczajne. Widzieli bowiem promień światła, wystrzelający ze skłonu nieba, poniżej najbliższej gwiazdy, i stąd ukośnie spływający na zie-

mię. Promień ów miał u szczytu gwiazdę modrą, gorejącą słonecznemi blaski, od których uczyniło się tak jasno, jak w dzień.

Lęk ogarnął ludzi.

— Dziw nad dziwy! — szeptali jedni.

— Patrzcie! Wydaje się, jakoby ta światłość przedzierała się z wnętrza nieba... — mówili inni.

— Coby to znaczyć miało?

— Pan nieba i ziemi znak nam daje...

Wreszcie odezwał się jakiś mąż sędziwy:

— Bracia! Niech Bóg będzie pochwalony... Albowiem powiadam wam, że jasność ta, to drabina, którą praojciec nasz, Jakub, widział we śnie...

— Niech Bóg będzie pochwalony! — przywtórzyły tłumy, pochylając czoła.

* * *

O dwie mile od Betleemu, po za pasmem wzgórz, leży dolina, porosła dębami, sosnami i morwami. Wzgórza zasłaniały ją od wichrów, więc latem i zimą pasterze okoliczni paśli tu trzody swoje. Niedaleko stąd, pod miastem, mieli wielką oborę, w której chronili się nocą sami, wraz z powierzonym im dobytkiem. Oborę otaczał mur, wysokości człowieka, ubezpieczony gęstemi krzami cierniowemi od dzikiego zwierza. Dnia, w którym Józef z Maryą dążyli do Betleemu, pasterzy w dolinie zebrało się więcej niż zwykle. O zachodzie słońca zapędzili trzody do obory, następnie rozpalili ognisko, przy niem skromną pożywali wieczerzę, gwarząc o swoich sprawach.

Widok tych ludzi dziwne sprawiał wrażenie. Głów nie nakrywali nigdy, więc twarde ich włosy sterczały wypalonemi od słońca kępkami; włosy kędzierzawe, zaplecione w warkocze, osłaniały im szyje i piersi, nadając im wyraz dziki. Za odzież służyły im skóry kozie lub baranie, włosem na wierzch obrócone, grubym pasem w biodrach ujęte; ręce mieli obnażone, nogi też po kolana nagie. Odzież dopełniały niewielkie sakwy, przewieszone przez ramię, zawierające żywność i kamienie do procy, gdyż w procę każdy był uzbrojony. Obok każdego leżał kij pasterski.

Spożywszy wieczerzę, rozmawiali czas jakiś, wreszcie sen skleił ich powieki. Usnęli, wyznaczywszy z pomiędzy siebie jednego do czuwania.

Noc była jasna, gwiaździsta, spokojna, bez najmniejszego wiatru, a zdało się, jakby świętość unosiła się nad obszarem świata, jakoby

niebo zbliżało się do ziemi. Pasterz czuwający chodził krokiem miarowym dokoła obory; czasem, usłyszawszy jakiś głos, przystawał i nadsłuchiwał.

Nadeszła północ. Wartownik zbliżył się do ogniska, aby zbudzić towarzysza, który miał go zluzować, gdy nagle oblała go jasność niezwykła. Jasność ta objęła całą przestrzeń.. Dreszcz trwogi wstrząsnął pasterzem. Spojrzał w górę — blaski spadały na ziemię z nieba, jakby z otwartego okna. Począł wołać na towarzyszów:

— Ocknijcie się! Wstawajcie! Wstawajcie!

Psy zaczęły skomleć ze strachu, trzody zbiły się w gromadkę, pasterze zerwali się na równe nogi, chwytając kostury i proce...

— Co się stało? Dlaczego nas budzisz? — pytali jeden przez drugiego.

— Nie wiem, co się dzieje... — odparł wylękły wartownik. — Niebo gore... całe w płomieniach...

Jasność wzmagała się, pasterze upadli na ziemię, zakrywając oczy. Wtem usłyszeli głos słodki:

— Nie lękajcie się! Nie trwożcie!

Słuchali prostaczkowie, z zapartym w piersiach oddechem:

— Nie trwożcie się — powtórzył głos — bo oto oznajmiam wam radość wielką, która napełni wszystkie narody ziemi.

Ów głos słodki, pełen powagi, poruszył serca pasterzy do głębi, napełnił je ufnością. Uklękli, wznieśli oczy. Wówczas ujrzeli wśród jasności postać Anioła, w szacie śnieżnej białości, ze srebrzystemi skrzydłami u ramion. Nad głową Anioła płonęła gwiazda, wznosił nad korzącemi się prostaczkami dłonie błogosławiące, cudne jego oblicze uśmiechało się radośnie. Pomyśleli pasterze:

— Chwała Boża jest pośród nas. Bóg przysłał do nas Anioła, jako niegdyś przysłał do Proroków Swoich.

Anioł zaś mówił:

— Dziś narodził się wam Zbawiciel, w Betleem, mieście Dawidowem, — Zbawiciel, Chrystus Pan. A ten wam znak daję: znajdziecie Niemowlątko uwinione w pieluszki i położone w żłobie. Po tem Go poznacie.

Umilkł Anioł. W tej chwili zjawiły się niezliczone zastępy innych Aniołów, śpiewając cudnemi głosy:

— „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli."

Hymn anielski rozbrzmiewał potężnie, a powtarzał się wiele, wiele razy.

Wreszcie Aniołowie zniknęli, a wtedy jeden z pasterzy rzekł:

— To był Gabryel, którego Pan posyła do ludzi. Chrystus się narodził... Wszak tak mówił?

— Tak mówił — potwierdzili towarzysze.—I mówił, że stało to się w Betleemie, mieście Dawidowem. Tam mamy znaleźć Dzieciątko, zawinione w pieluszki i położone w żłobie.

— Tak mówił Anioł.

— Jedno jest tylko miejsce w Betleemie ze żłobami. Znajduje się ono w pobliżu gospody. Bracia! pójdźmy tam... Kapłani, doktorowie, uczeni w Piśmie Ś-tem, od wieków oczekują Chrystusa. I oto narodził się, a Pan dał nam znak, po którym Go poznamy. Pójdźmy i pokłon Mu oddajmy.

— A stada nasze?

— Pan je strzedz będzie.

Jakoż spiesznie podążyli do miasta Dawidowego.

W mieście zatrzymali się przy bramie gospody.

— Czego chcecie? — zapytał ich stróż.

— Widzieliśmy dzisiaj rzeczy nadzwyczajne i słyszeliśmy wielką nowinę — odparli.

— I myśmy widzieli, aleśmy nic nie słyszeli. Cóżeście słyszeli?

— Właśnie idziemy do groty, żeby się o tem przekonać, a potem ci opowiemy. Może pójdziesz z nami?

— Daremna droga, nic tam nie zobaczycie.

— Otóż zobaczymy. Tam narodził się Mesyasz.

— Mesyasz? Skąd ta wiadomość?

— Z nieba.

Stróż uśmiechnął się pogardliwie.

— Mesyasz? — powtórzył. — Po czemże Go poznacie?

— Urodził się nocy dzisiejszej, a leży w żłobie, uwiniony w pieluszki. Tak nam oznajmiono.

Stróż poszedł z pasterzami, a idąc musieli się przeciskać przez rzesze, które, rozbudzone światłością niebiańską, zalegały wciąż ulice, rozprawiając o tem zjawisku.

Wrota groty stały otworem — pasterze i stróż wsunęli się do wnętrza.

— Pokój tobie — odezwał się stróż do Józefa. — Oto przyszli ludzie, którzy szukają Dzieciątka. Pono narodziło się tej nocy, uwinione jest w pieluszki i leży w żłobie.

Rozradowanie ukazało się na obliczu Józefa, wskazał ręką w głąb jaskini i rzekł:

— Tam Dzieciątko nowonarodzone.

Zaprowadził ich do żłobu, w którym istotnie leżało Dzieciątko.

— To Chrystus! — odezwał się jeden z pasterzy.

— To Chrystus! — powtarzali inni.

A upadłszy na kolana, oddali Dzieciątku cześć, mówiąc przytem:

— Oto Pan. Pełne są niebiosa i ziemia chwały Jego!

Prostaczkowie ucałowali brzeg szaty Maryi i odeszli rozradowani. Zaś w drodze powrotnej opowiadali wszystkim, co ich spotkało, śpiewali oraz hymn anielski:

— „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

W rocznicę Narodzenia Zbawiciela świata, Pana naszego Jezusa Chrystusa, przypominamy Czytelnikom „Dzwonka Częstochowskiego“ święte i radosne zdarzenie, gwoli podniesienia ich serc radością spólną ku niebiosom, z których przed dwoma niemal tysiącami lat spłynęły na ród ludzki — Przebaczenie i Łaska. A jednocześnie z pobudką pobożną składamy Im życzenia, jak prastary nasz zwyczaj każe. Życzymy Wam zaś, Drodzy Przyjaciele, żebyście się stali posiadaczami trzech skarbów niebieskich, trzech cnót świętych: wiary, miłości i nadziei. One jedynie, pielęgnowane żarliwie i skrzętnie, pozwalają człowiekowi osiągnąć szczęście, do którego nas Bóg Najwyższy powołał, szczęście jedynie prawdziwe, które się zowie: żywotem wiecznym. Zbrojni w wiarę, miłość i nadzieję, przejdziemy drogę żywota doczesnego nieskalani na duszy i osiągniemy cel przez Stwórcę wskazany; te trzy skarby obronią nas od pokus, wskażą nam Prawdę, nie pozwolą nam upaść wśród cierni życia, przekonają nas, że ciernie owe są jeno próbą, zsyłaną na nas przez Najdobrotliwszego Ojca. Tego Wam życzymy, Drodzy Przyjaciele, a sami starać się będziemy usilnie pomagać Wam do pozyskania skarbów rzeczonych, dostarczając umysłom Waszym zbożnego posilenia duchowego; tego Wam życzymy, łamiąc z Wami opłatek i ofiarując Wam opowieść z kart Ewangelii Ś-ej zaczerpniętą, zawsze świeżą, zawsze mile witaną, bo przynoszącą z sobą ukojenie, pociechę, balsam dobrej nadziei.



Pieśń na usługach Przenajświętszej Bogarodzicy Niepokalanej Dziewicy Maryi.

Opeć za podstawę swego dzieła wziął, po łacinie napisany, przez Ś-go Bonawenturę „Żywot Chrystusa“, ale go obficie podaniami zaokrąglił i uzupełnił żywotem Maryi. Przytoczymy wyjątki z tego ostatniego żywota, pozwolą one wymiarkować, z jaką rozkoszą musiano odczytywać tę księgę:

„Kiedy Dziewica Marya trzynaście lat miała, tedy książęta kapłańskie Jej mówili, iżby męża pojęła, któryby był podobien Jej dostojeństwu. Dostojna Panna i Niepokalana Dziewica Marya, usłyszawszy te słowa, silno się zasmuciła, a przemieniwszy Swe oblicze, zbladła. Jej wszystka barwa, która była jako róża rumiana, w bladość się przemieniła, ukazując czystość dziewiczego serca. Potem, westchnąwszy ku Bogu, onym książętom odpowiedziała, mówiąc, że już Bogu czystość ślubiła, a innego oblubieńca nad Niego mieć nie chce, bo Onego Samego nade wszystko stworzenie miłuje.

— Dlategom moją czystość Jemu poślubiła, a nad Niego innego męża nie chcę poznać, ale się Jemu czysta chcę chować, bo mej obietnicy przełomić nie mogę. Tenci jest mój oblubieniec, mąż mój i stróż dziewictwa mego. W Jego ziemi zawżdy są róże z lilią kwitnące i wszystko rozkoszne kwiecie; tam jest rozkoszna wonia cynamona. i balsamu, i wszego rozkosznego kwiecia. Nigdy tamo lato nie jest gorące, albo zimno marznące; tam niema płaczu, ani wzdychania, krzyku ani żadnego strachu. Tam niema głodu, wrzodu, ani żadnego boju. Tam niema żadnej niemocy, ani żadnej tęskliwości, bo tam jest wieczna radość i przezpieczność, zdrowie i mir wiekuisty; tam jest zawżdy pienie i wesele; tam brzmią organy słodkiemi głosy; tam mój Oblubie-

niec jest. Onemum czystotę moją ślubiła, a nigdy męża poznać nie chcę, przeto nie jest podobna, abym ten ślub złamała, którym Bogu Wszechmogącemu ślubiła.

Słysząc książęta żydowscy to odpowiedzenie Dziewicy Maryi, silno się zdumieli, dziwiąc się bardzo Jej mądrej mowie.“

Kazania księdza Paterka w innej mierze zaspakajały pobożną ciekawość czcicieli Maryi, a mianowicie — odtwarzały szczegółowo Jej wizerunek. Oto w jaki sposób kaznodzieja rzeczony wizerunek ten kreślił:

„Były włosy Maryi mierne, żółto-czarne, bo takie słuszają (przystoją) płci białej, rumianej; takie włosy się mienią, bo z młodu bywają żółte bardzo, a potem czarne.

Głowa Jej była niejako podługowata, czoło nie szerokie ale gładkie, na cztery grani miernie wielkie, słuszne, pokorne, a zawsze na dół je spuszczała, taka bowiem głowa a czoło ukazują człowieka opatrznego, mądrego a sromięźliwego (skromnego).

Oczy były cudne a jasne, słodkie, wejrzenia miernego, łaskawego, pokornego, źrenica czarna, bardzo jasna (błyszcząca), brwi czarne, niebardzo gęste, albo włosiste, ale słuszne.

Nos prosty, niewielki, prosto idący, co znak jest stałości a roztropności.

Jagody Jej nie pucołowate albo tłuste, ani wyschłe, ale cudne, białe a rumiane w barwie, jako mleko a róża.

Usta najświętsze miłe, rozkoszne, wesołe, wszelkiej słodkości napełnione.

Zęby Jej były równe, proste, białe a czyste.

Odzienie jako sukienkę miała z biała czerwoną, płaszczyk jakoby modry, tej barwy jako niebo jasne.

Chodzenie Jej proste, słuszne, a lekkie i mierne; słusznie chodząc, głowę skłoniwszy, jako panna sromotliwa, pokorna, nietylko w każdym uczynku, ale w każdem pomyśleniu czysta a rządna, mężna, stała, złym sroga, dobrym miła, na wejrzeniu dziw wielki Boży.

Głos Jej milutki, głośny, słodki, wiesioły, iż rozlała się była łaska w uściech Jej, jako napisano w Psalmach.

Milczenie chowała, rzadko mówiła, tylko gdy tego bardzo była potrzeba, z czego dla nas nauka.

Dziwnej cierpliwości była, tak, iż nigdy Jej nie widziano rozgniewanej, nigdy się nie śmiała, próżno nie mówiła nigdy.“

Taki wzór miały dziewice polskie do naśladowania w początkach XVI stulecia.

Cześć dla Maryi z każdym dniem niemal wzrastała, a przy onym wzroście inna jeszcze potrzeba dawała się uczuwać. Wprawdzie zwię-

kszała się liczba Jej poświęconych pieśni, lecz w tych pieśniach nie było onej przejmującej rozmowy duszy z Bogiem, której wzór niedościgniony pozostał w Psalmach Dawida, gdzie żal, skarga, skrucha, uwielbienie i zapał kolejno lub razem wybuchają, tworząc szczytną melodyę uczuć religijnych. Więc żeby zadosyć uczynić tej potrzebie, ułożono modlitewnik do Najświętszej Panny, naprzód po grecku i po łacinie, z zastosowaniem do Niej myśli, zawartych w „Psałterzu" Dawida, a następnie ten modlitewnik wytłumaczono na język polski i wydano w Krakowie, w r. 1531 pod tytułem: „Rożany Wianek Panny Maryi", przez Hieronima Wietora. Oto wyjątki z tej księgi:

„Błogosławiony mąż, który miłuje imię Twe, Dziewica Marya, łaska Twoja duszę jego potwierdzi. Miłosierdzie Twoje wszędy opowiadają Panno Marya, z robót rąk twoich Bóg będzie błogosławion.

Zaszczyć nas (osłoń nas) prawicą Twą, Matko Boża, pójdźcie ku Niej wszyscy robotnicy (złamani pracą) i smutni, a Ona ochłodzenie i pocieszenie da duszom waszym. Przystępujcie ku Niej w pokusach waszych.

Rozwiąż, Panno, okowy złości naszych, oddal brzemiona grzechów naszych. Zlituj się nade mną, Pani, uzdrów niemoc moją, oddal boleść i udręczenie serca mego.

Spowiadam się Tobie, Pani, ze wszego serca mego, a wypowiem między ludem cześć i chwałę Twoją. Bo Tobie ma być dana chwała, dzięka i chwalebność głośna.

Który Ją dostojnie czci, będzie usprowiedliwion, a kto nie uczyni tego, umrze w grzechach swoich. Bojaźń Jej odpędza grzech od serca, a łaska Jej oczyszcza sumienie z grzechów. Jeśli Pani nie zbuduje domu serca naszego, nie będzie długo trwać budowanie jego.

Kto wierzy w Ciebie, najdzie skarb pokoju, a kto Cię nie wzywa na tym świecie, do Królestwa Niebieskiego nie wnijdzie.

Pójdźcie, radujmy się Pani, weselmy się Zbawicielce naszej. Dufajcie w Nią zakonnicy, wierzcie w Nią żacy wszyscy, iż Ona jest Uliczka żywota, Wrota zbawienia, Droga naszego zjednania, Wesele płaczących, Pokój bojących serc i Zbawienie.

Chorążyno nad dziewicami, Szafarko Królestwa Niebieskiego—bądź miłościwa! Odpuść nam grzechy, od gniewu Bożego wybaw nas!

Pani, zlituj się nad nami zaginionymi! Zbawicielko, wysłuchaj łkania serca mojego! Omyj Pani grzechy nasze."

W tym „Zołtarzu", czyli „Psałterzu", zwróconym do Najświętszej Panny, dla udowodnienia jego pożytku duchowego podano: „Przykład o jednym złym królu, który król, gdy tego „Zołtarza" nie rad mawiał (to znaczy niechętnie się z niego modlił), a wszakoż, iż go rad z porady spowiednika na ręku nosił, — tedy, kiedy ten król umarł, był ska-

zan na wieczne potępienie. Ale Panna Marya, dla onego „Zołtarza“, który na ręku ustawicznie nosił, do Sędziego przystąpiła i on „Zołtarz“ na wagę włożyła. A tak onym „Zołtarzem“ złości onego króla i złe uczynki jego przeważyła i onę duszę ku ciału przywróciła, aby zadość uczyniła za grzechy swoje. Który król, wstawszy z martwych, ten „Zołtarz“ rad mawiał i żywot wieczny przez to otrzymał.“

Nieco wcześniej od „Różanego Wianka“ zjawiły się: „Książeczka do nabożeństwa Jadwigi Nawojki“ i „Kancyonał Jana Przeworszczyka.“ Tretiak o nich nie wspomina. „Książeczka" zawiera modlitwy do Matki Bożej, Pana Jezusa i Wszystkich Świętych. Prawdopodobnie była własnością rodziny Jagiellonów. Wyjmujemy z niej modlitwę jedną:

„Gospodzie moja miła, ku Tobie się uciekam, boś wszystko moje ucieszenie. Nie odrzucaj mnie przez mą wielką zgłobę (grzech, złość). Przyjmij mię przez Twe gorące miłosierdzie, boś przytulenie wszystkich odrzuconych. Matko sierct i ubogich! Ucieszenie wzdychających! Nadziejo wszech żałujących! — zlituj się nade mną, schyl do mnie uszy Twoje najświętsze, na usłyszenie mojej niegodnej modlitwy, oświeć i naucz, iżbym tego żądała i prosiła, żeby się Tobie zlubiło słyszeć. Zdrowa (bądź pozdrowiona) i raduj się Persono Najcudniejsza, już przez Ś-tą Trójcę, przed stworzeniem świata, w tajemnicy Swego Bóstwa obejrzana. Zdrowa i raduj się Dziewico Najczystsza i Najświętsza, którą Ś-ta Trójca w żywocie matczynym oczyściła i uświęciła, i darami Ducha Ś-go obdarowała, i mocą Swego Bóstwa błogosławiła. Matko zlitowania, proszę zlitowania Twojego przez tę sławę, którąś przyjęła od Boga w Trójcy Jedynego, który gdy Cię obrał w tajemnicy Bóstwa Swego przed stworzeniem świata Swego; przez tę radość, Gospodzie moja, Ciebie proszę, jaką Ci sprawiło przemówienie anielskie; przez to oświęcenie, gdy w Ciebie wstąpił Duch Ś-ty, nawiedzeniem Bóstwa z człowieczeństwem; przez tę radość, którąś miała, gdy trzej królowie przyszli z dary przed Twego Jedynaczka; przez tę radość, którąś miała, gdyś Go do kościoła nosiła i Bogu Ojcu za nas ofiarowała; przez te wszystkie radości, któreś miała od zestąpienia Słowa Boga Ojca na Ciebie: uproś mi u Jedynaczka Twego zbawienie, moim grzechom odpuszczenie, Jego świętą miłość, a dobrze żyć w świętym zakonie, roztropno w moich sprawach, zdrowie duszne i cielesne, iżbym Twemu Jedynaczkowi służyła, moim bliźnim dobry przykład była. Gospodzie moja, Ciebie proszę, boś Ocalenie ginących, Odkupienie grzesznych, Oświecenie ciemnych; boś Droga błędnych, Podwyższenie upadłych, Podeprzenie krewkich, Uleczenie niemocnych, Przyodzienie obnażonych. Przez dobroć Twoją, Ciebie proszę — spojrzyj na moją nagość, zniszcz we mnie, co jest Tobie nielubego, duszy mojej daj miłość i żądzę ku wszemu dobremu i wytrwanie we wszystkiem dobrem. Daj miłosierdzie, daj po-

moc we wszystkich potrzebiznach moich, dusznych i cielesnych. Matko Boża, Ciebie proszę, ku zbawieniu obrządź mi zejście z tego świata. A proszę zbaw mię od nagłej i niespodzianej śmierci, i od śmierci wiekuistej."

Z „Kancyonału Jana Przeworczyka" przytaczamy pieśń następującą:

„Zdrowa, Gospodzie miłości, żywota słodkości i nadziejo nasza! Zdrowa, ku Tobie wołamy synowie Ewy! Ku Tobie wzdychamy, łkając i płacząc, ze złego padołu! Na wołanie nasze, Twe miłosierne oczy ku nam obróć, o, Dobra, o, Miła, o, Słodka Maryo!"

A oto jeszcze wyjątki z „Setnika rymów duchownych", wydanego w Krakowie, w XVI stuleciu. Autorem jest Sebastyan Grabowiecki, o którym Tretiak również nie wspomina:

I — „Panno, nad wszystkie chwalebna od wieku, Córko, Małżonko, Matko Wszechmocnego, Ołtarzu chleba żywy, co czyni wiek prawdziwy, Pomocy wszelka u Boga Wiecznego! Żywota Twego On Owoc tak Święty, Zródło łaski płynące, proś, by cnoty kwitnące we mnie mnożył, a nie szkodził przeklęty.

Stopniu, po którym Syn Wiecznego Boga z nieba zszedł, niech przez Cię głos wstępuje, gdy mój duch ciężkość czuje. Racz być pomocą do łaski nędznemu! Jak matka w domu, czci, wolności zatem używając, proś zawżdy, by Syn grzech przejrzał (odpuścił) każdy, w chwale na onym świecie, w łasce na tym."

II — „O, Panno Święta, łaski napełniona, Tyś, gdy Cię szczera pokora zaleca, w niebo wstąpiła. Znasz, jakom strapiony! Z Ciebie Studnica litości spłodzona, sprawiedliwości Słońce, co oświeca świat, strasznemi błędy napełniony. Trzema wielkiemi uczczonaś imiony: Matkaś, Córka i Żona, Panno błogosławiona, Króla, którego łaską rozdziergniony nasz węzeł ciężki, stąd świat szczęsny wiecznie. Proś, niechaj w rany święte me zmysły wzięte chwalą Go serdecznie."

III — „Szczęśliwa Panno i godna czci wszelkiej, któraś u Boga była w wadze takiej, że Cię za Matkę obrał, a wnętrzności Twej zwierzon Stwórca nieba i wszech nizkości.

Izaż jest sposób, jak dziękować mamy, gdy z Twej godności zbawieni się znamy? Czy niedołężność nasza zdoła temu za żywot chwałę dać stanowi Twemu?

Przyjmże tedy, prosim, jakie mamy dzięki, jakicheś godna gdyż nie damy, niechaj chęć nasza Tobie wdzięczna będzie, a przed Swym Synem lud Swój ratuj wszędzie. Pokorne prośby puść przed święte uszy, racz łaskę jednać, gdy grzech cięży duszy, gdyż niemasz, ktoby przed Sędzim ratował, co Swe wyroki surowe zgotował.

Syn Twój jest źródło dobroci wszelakiej, a jeśli matkę czci syn ladajaki, rzecz słowo tylko, a będzie zbawiona z Jego litości dusza utrapiona."

Walka pieśni Maryjnej z herezyą.

Wzmagała się cześć dla Maryi, jednocześnie pieśń Maryjna rozbrzmiewała coraz głośniej i wdzięczniej. Naraz do Polski wtargnęły wichry, zatrute herezyą, i z zaciekłością jęły godzić w świętą naszą wiarę rzymsko-katolicką, oraz w to wszystko, co zmierzało do umocnienia i rozkrzewienia tej wiary. Przeto i pieśni Maryjne nie uniknęły napaści heretyków. Do jakiego stopnia dochodziła ich zaciekłość, pozbawiona oczywiście wszelkiej podstawy, o tem zaświadczy niżej przytoczony ustęp z księgi heretyka Marcina Krowickiego, urągający wspomnianemu przez nas „Wiankowi Różanemu Panny Maryi." Krowicki utrzymuje, że to dyabeł był sprawcą rzeczonego modlitewnika, a dalej mówi:

„Dyabeł pobudził Papieża, mnichy i mniszki, którzy bez wszelakiej bojaźni Bożej i wstydu ludzkiego, słowa „Psałterza Dawidowego" zodmieniali, wynicowali i sfałszowali, a sfałszowawszy, „Różanym Wiankiem Panny Maryi" nazwali, w którym „Wianku" Panu Bogu bluźnią, Syna Bożego, Pana Jezu Krysta, jedynego Zbawiciela i Odkupiciela przą się. I na to miejsce Pannę Maryę czynią i zbawicielem i odkupicielem wszystkiego świata."

Taki i tym podobne zarzuty jeno śmiech i politowanie wzbudzają. Bo gdzież źródło onej złości odszczepieńczej? Oto pochodziła ona stąd, że w „Wianku Różanym" Najświętszą Pannę, jako Matkę Zbawiciela, nazwano Zbawicielką, który to tytuł Maryi najsłuszniej w świecie się należy.

Herezya wpłynęła nieco na ochłodzenie pobożności, a co zatem idzie — na zatrzymanie rozwoju pieśni Maryjnej. Mimo to pieśń Maryjna rozbrzmiewać nie przestała. Snuje ją pomiędzy innymi Klemens Janicki. Ciężką i długą chorobą złożony, gdy już sztuka lekarska nie mogła mu dać uzdrowienia, zwraca się do Maryi z prośbą:

„Chcę wsparcia z daleka, gdzie ludzka pomoc bywa nadaremną. Wspomożycielko w cierpieniach człowieka, o, Matko Boża — zlituj się nade mną! Spuść dobre oko, patrz w jakiej pokorze błaga Cię sługa w swych cierpień godzinie..."

Janicki błaga Najświętszą Panienkę nie o wyzdrowienie. Uważając chorobę śmiertelną za karę zasłużoną, prosi Ją, aby mu pomogła

bez jęku, z poddaniem się woli Bożej wytrzymać cierpienia i bez trwogi przyjąć śmierć, która ducha jego do nieba wzniesie.

Obok Janickiego, podczas grasowania herezyi w Polsce, staje z hołdem dla Maryi Mikołaj Sęp Szarzyński. Ten poeta, poznawszy nędzę i znikomość rozkoszy ziemskich, woła z Hiobem:

„Z wstydem poczęty człowiek, urodzony z boleścią, krótko tu na świecie żywie, i to odmiennie, nędznie, bojaźliwie; ginie, od słońca, jak cień opuszczony."

Odwraca tedy oczy Szarzyński od „rzeczy, które i mienić się muszą, i muszą się psować," natomiast podnosi wzrok ku niebiosom, „ku wiecznej i prawej Piękności", gdyż ona tylko duszy nie zawodzi. Doszedłszy do tego przekonania, wysnuwa przewspaniałą pieśń na cześć Maryi:

„Panno bezrówna, stanu człowieczego wtóra ozdobo, nie psowała w której pokora serca, ni godność pokory, Przedziwna Matko Stworzyciela Swego!

Ty głowę starłszy smoka okrutnego, którego jadem świat był wszystek chory, wziętaś jest w niebo nad wysokie chóry, Chwalebna— szczęścia używasz szczerego.

Tyś jest dusz naszych jak księżyc prawdziwy, w którym wiecznego baczymy promienie miłosierdzia, gdy na nas grzech straszliwy przywodzi smutnej nocy ciężkie cienie! Ale zorzą już nam nastań ranną, pokaż Twego słońca jasność żądaną."

Tretiak utrzymuje, że do czasów Adama Mickiewicza, żaden z poetów polskich nie potrafił piękniejszego wyśpiewać hymnu na cześć Maryi. Zwraca oraz uwagę, że w pieśni przytoczonej znamy już nie naiwne, prostacze malowanie wizerunku Maryi, nie samo błagalne wyciąganie rąk do Niej, lecz myśl strzelistą, skojarzoną z głębokiem uczuciem religijnem i w doskonałej formie wyrażoną. W rzeczy samej — trudno piękniej odmalować Niepokalaną Dziewicę, jak łącząc w wyrazie Jej oblicza godność i pokorę, jak wynoszącą Ją, jako Tę, co pokonała smoka zmysłowości, na niebiosa, po nad chóry anielskie. Tam Ją złoci słoneczny blask Bóstwa. Stamtąd, w ciemnej nocy grzechów i cierpień ludzkości, przyświeca Ona grzesznym i cierpiącym jak księżyc, kojąc frasunki, rozpraszając cienie rozpaczy. A gdy nadejdzie dzień zmiłowania Bożego, wtedy zapłonie radością, jako Zorza — Zwiastunka tego dnia szczęśliwego.

Ochłodnięcie pobożności trwało niedługo. Pod koniec XVI-go wieku herezya zaczyna upadać. Prawdziwy, rzymsko-katolicki Kościół Chrystusów święci tryumf, bramy piekielne nie przemogły go. Spólnie z nim tryumfuje cześć dla Niepokalanej. Stało się to za sprawą Ojców Jezuitów, którzy wystąpili do walki z herezyą uzbrojeni w za-

pał wielki, wytrwałość niezłomną, a przedewszystkiem w prawdę. Na czele obrońców Kościoła stanęli Wujek i Skarga.

Obawaj — pisze Tretiak — z całą siłą gorącego przekonania uderzali w naukach swoich na tych, co godzili w majestat Maryi. Wspaniałe są zwłaszcza kazania Skargi, w tym celu wypowiadane. Z pomiędzy nich wyróżniają się: kazanie na dzień Wniebowstąpienia i na dzień Narodzenia Maryi. W pierwszym złotousty kaznodzieja tak gromi przeciwników czci Bogarodzicy, którzy głosili, że chcą tylko opierać się na Piśmie Ś-tem i na wszystko dowodów wyraźnych stamtąd żądali:

„Ci ludzie nie wiem z jakiem baczeniem każdą rzecz z Pisma Ś-go mieć chcą i temu samemu wierzyć się obejmują, co w jasnem pisaniu widzieć mogą. Obojga rzecz u nich próżności pełna: z jednej omylnymi, a z drugiej nieroztropnymi bardzo się pokazują. Bo im wiele jasnego Pisma i o innnych artykułach wiary i o czci Przenajświętszej Matki Dziewicy ukazujem, a przecież wedle Pisma onego wiary i uczynków nie mają. Oto jasne Pismo, gdzie Anioł, z poruczenia Trójcy Ś ej, chwali, sławi, czci Maryę. Jeżeli o to dbają, czemu z nami tego nie czynią, co Anioł? Co czyni Elżbieta, Ducha Ś-go pełna, czemu tego nie czynią? Ale i dziatek tego pozdrowienia nie uczą, i sami go nie umieją, a z nas, anielskich naśladowników, śmieją się, iż chwałę Maryi szerzym i powtarzamy zawżdy. Otóż tak im szczere Pismo pomaga! Otóż tak prawdę mówią, że to tylko czynić chcą, co w Piśmie jasno najdują!“

Tym, którzy twierdzili, że niema w Piśmie rozkazu, aby ludzie mieli Anioła zwiastującego w czci dla Maryi naśladować, odpowiadał Skarga mocnym argumentem:

„Kto wie i wierzy, iż Marya jest Matką Boga Najwyższego, Króla i Boga mego, byłby głupszym niż osieł, gdyby rzekł: — Nie będę Jej czcił, aż mi Król-Syn Jej każe“.

Skarga nigdy nie omija sposobności, aby dać naukę narodowi i ogniem miłości Bożej przypiec jego rany moralne. Tak więc święto Nawiedzenia Matki Bożej daje mu okazyę do porównania ówczesnych kobiet polskich z tym wzorem, jakim od początku chrześcijaństwa była dla płci niewieściej Marya. Mówi:

„Oto Matka Boża przyszła do matki sługi Bożego, nie pomnąc na tak wielką zacność Swoją, będąc od Boga wielkiem poselstwem uczczona, będąc od Anioła wsławiona, mając w żywocie Swoim Twórcę i Pana wszystkiego świata. Nie podniosła się z tego (to znaczy — nie była z tego dumną). Uprzedza nawiedzeniem i pozdrowieniem daleko podlejszą, i onej się uniża, i do jej się posług kwapi. A te białogłowy polskie końca swojej pychy z nadętości nie mają. Jedna drugiej nie ustąpi, każda przodek mieć pragnie, w stanie, w szacie, w kolebkach i sześci koniach, w pachołkach i służebnicach. Bardzo tego blizko,

harde niewiasty, iż pychę waszą, do której i męże pobudzacie, a dla której domy ich pustoszycie, poniży Pan Bóg jaką pogańską niewolą, w której was, miasto złotych kolasek, na kolasach powiozą".

W kazaniu na święto Narodzenia Maryi, Skarga karci lenistwo umysłowe, nieuctwo Polaków oraz pychę ich rodową. Pierwsze karcenie jest „przymówka na pany i zamożnych ludzi, którzy nie znają starych dziejów, którzy w domach swoich nie mają ksiąg ani rozmów mądrych, jedno psy, ptaki, kufle, stoły, beczki, piękne szklanice, warcaby, karty, na czem drogi czas gubią i żywot jako cieniowie przechodzą". Ta nauka mało ma łączności ze czcią Najświętszej Panny. Natomiast druga nauka, drugie „karcenie" ściśle się łączy z uwielbieniem Niepokalanej, która będąc z kapłańskiego i królewskiego rodu, „żadnej stąd chluby nie ciągnęła dla Siebie."

„Trzy rzeczy — tak brzmi ta nauka — nie pozwalały Maryi na to: próżność chluby (znikomość chełpienia się, dumy), złych ojców (przodków) większa część i ubóstwo, w którem żyła na świecie. Bo próżna i bez przyczyny jest chluba, gdyż się wszyscy, i królowie najmożniejsi, jako sam Salomon o sobie mówi, i kmiecie jednako rodzą. Także rodzą się z niewiasty, także na ziemię padną, także naprzód płakać poczną, a innej pieśni nie zaczną. By się inaczej panowie niźli ubodzy rodzili, abo inszą naturę z matki brali, wtedy byłoby się z czego chlubić.

A gdy kto na swe przodki wejrzy, a tak wielu złych, sprośnych, u Boga i u ludzi brzydkich i jawnych grzeszników, nieczystych i łupieżców najdzie; także między białogłowami gdy na niektóre nierządnice i cudzołożnice w narodzie swoim się obejrzy: a z czego się chlubić ma? Zacny ród Najświętszej Matki, a patrz jako wiele ma brzydkich i sprośnych grzeszników, kto w ich żywot wejrzy?

A gdy człowiek wielkiego i królewskiego rodu, a pieniędzy i imion nie ma, a rzemiosło robi: za co ród jego u ludzi stoi? Kto się z niego nie śmieje, gdy się chwalić pocznie? I w stajni mu się gospoda ledwie dostanie, jako temu Józefowi i Maryi Przeczystej z Dzieciątkiem."

Czy nie ma zatem żadnej szczególnej pociechy ten, kto się z „zacnych przodków" urodził? I owszem, ma, ale taką tylko: „Jeśli byli dobrzy, cnót ich synem i potomkiem być; nie krwią ich się szczycić, lecz ich dobre uczynki naśladować. Tem się chlubić mogła Najświętsza Matka, gdyby Jej pokora na to pozwalała. Ale my za Nią chlubmy się i wychwalajmy Ją, iż miała przodków swoich wysokie cnoty.

W Tobie, Przenajczystsza Panno, jest Abrahamowe posłuszeństwo, Izaakowa bojaźń Boża, Jakóbowa cierpliwość, Józefowa czystość, Dawidowa łaskawość, Salomonowa mądrość, Ezechiaszowa ku czci Bożej żarliwość, Jozyaszowe nabożeństwo. A co więcej, wszystkie przodki swoje okrasiłaś i zacność ich ozdobiłaś, gdyż ich we wszystkich cno-

tach przechodzisz, jako słońce, gwiazdy i miesiąc światłością swoją przebijasz.“

Skarga stał się wskazówką dla pieśni polskiej, w której odtąd coraz częściej zaczęły się odzywać głosy czci dla Maryi. Z pomiędzy twórców takich pieśni, wymienimy księdza Stanisława Grochowskiego. Maryjne jego utwory są tłumaczeniem na język polski łacińskich pieśni kościelnych. Nie zalecają się jednak wysokim polotem i dlatego nie przytaczamy ich tutaj. O wiele piękniejsze są utwory Maryjne Kaspra Miaskowskiego. Zwłaszcza „Rotuły na Narodzenie Syna Bożego“ zalecają się wdziękiem.“ Oto wyjątek z nich:

„Panno nad kryształ i Matko bez męża! Tyś starła głowę nadętego węża, gdy Twój Synaczek, co ma Ojca w niebie, wyniknął z Ciebie.

A jako przez szkło promień wewnątrz wchodzi, tak przenajświętszy żywot Go Twój rodzi; zakryło na ten, przegrodzenie sobie, dziw oczy obie.

O, Skrzynio hojna, z słodką dotąd manną, skąd on Chleb żywy, co Go nie przestaną słudzy jeść Boże od wieków skończenia, bez nasycenia.

Zdroju, pieczęcią Najwyższego cały, który wysokie obtoczyły skały; zawarta Furto, co sam Twórca do niej nosi klucz w dłoni.

Dawidów Grodzie i Baszto z opoki, co wierzchem sięgasz i wschodzisz w obłoki; Ogrodzie śliczny przed zwierzęcym zębem, zrębisty dębem.“

A oto wyjątek z innego utworu Miaskowskiego: „Historya gorzkiej męki i okrutnej śmierci Boga wcielonego, Jezusa Pana“.

Jesteśmy na Golgocie—Jezus skonał na krzyżu, odbywa się Jego pogrzeb:

„Poniżej smętnej góry, na stronie, gdzie w równi leży nad miastem błonie, gdzie i gaj wonny owocem płodny, i gęsty stanął parkan okropny, tamże też swój sad Józef (z Arymatei) na czoło rumianą cegłą obtoczył wkoło. A w nim, jako człek na swą śmierć pomny, żelazem kamień wydrążył łomny, gotując tamże grób sobie nowy, coby był próżen umarłej głowy. Tenże naprędce z sztucznej roboty sam ofiaruje Panu z ochoty. A że w pobliżu miejsce to było, niźli pot słońce w polu omyło, z pogrzebem wszyscy wzajemnie śpieszą i procesyą szykują pieszą.

A wprzód na obie padłszy kolana, podejmie Józef krwawego Pana. Toż i Nikodem, toż czynią inni, a po nich rzędem idą powinni. Niesie przed Ciałem smętny młodzieniec rumiany rosą szarłatny wieniec, a przed nim trzej trzy żelazne groty, czwarty zaś gąbkę na trzcinie, bo tej odbieżał strachem żołnierz ujęty, i został w zysku klejnot im święty.

Matka też poczet wiedzie żałosny. Jako gdy jastrząb z początku wiosny, zabiwszy wodza w stadku pierzchliwem, rozboju zaraz po nie-

szczęśliwym wstecznym zaś wrotem gołębie bieżą, gdzie piórka jeszcze skrawione leżą, gruchając jęczą po polu onem; ale samiczka nieutulonem rzewliwie gardłkiem chodząc szczebiocze, a pobocz skrzydła spuszczone wlecze: tak właśnie orszak za Panem święty żalem podchodzi krwawym ujęty, łzy krwawiąc hojne, aż mokre tropy drukują bose za nimi stopy. Ale nad inne bolejąc, Ona idzie Panienka smętkiem zemdlona; dzierżą ją pobocz rzewliwe panie, a wiara więcej, że nie ustanie. A gdy już doszli kowanej skały, tam łzy rzewliwe dopiero wstały; tam pięści gęste do serca biją i usta gorzkie strumienie piją. Gdzie, niźli kamień odwiodą z lochu i chustą otrą wewnątrz go z prochu, przyklęknie Matka naprzód nabożnie i uchyliwszy ścierki ostrożnie, pokropi łzami tę Głowę skłutą i wargą wargę pożegna złotą.“

Na tem kończymy przegląd pieśni na usługach Maryi, od początku wytworzenia się tych podniosłych rytmów aż do XVII stulecia. W przyszłości zapoznamy czytelników naszych z dalszym ciągiem wspaniałej przędzy, budzącej pobożność i unoszącej myśl ku niebiosom.



HYMN

Do Najświętszej Niepokalanie Poczętej Maryi Panny.

Witaj Pani, my poddani,
Do stóp Twych przybiegamy,
I swej Pani, w kornej dani,
Serca nasze składamy.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Bogu wierna, łaskiś pełna,
Przez Anioła uczczona;
Z niewiast grona, wyróżniona
Przebłogosławiona.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Bóg przez Ciebie dał nam Siebie,
Dla naszego zbawienia,
Tyś zrodziła, Matko miła
Sprawcę odkupienia.

Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Aniołowie i Duchowie,
Święci i Święte w niebie,
Piosenkami i hymnami
Czczą po Bogu li Ciebie.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Gwiazdy, słońce jaśniejące
Pod świętemi stopami,
Toż mgławice i księżyce,
Są Twoimi sługami.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Berła, trony i korony,
Od Ciebie swój blask mają,
Lud i pany, wszystkie stany
Ciebie Panią uznają.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Nieme twory, góry, bory,
Cześć swą ogłaszają,
Na kaplice i świątnice
Siebie oddają.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana
Maryo Niepokalana!

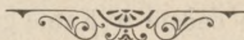
Bestye srogie, ptactwo mnogie,
Dla Twej wielkości,
Porykują, wyśpiewują
Hymn wielmożności.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana.
Maryo Niepokalana!

Bądź uczczona, uwielbiona,
Matko jedyna,
Ukochana, miłowana,
Proś za nas Syna.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Odpuść grzechy, wlej pociechy
Do serc strapionych,
Dodaj mocy i pomocy
Dla odkupionych.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Niech przez Ciebie, staniem w Niebie
Po dobrym zgonie,
Jako dziatki, dobrej Matki
Przy Twoim tronie.
Boś Ty Matką pomocy,
Pocieszyć nas w Twej mocy,
Matko Boga, Zbawcy Pana,
Maryo Niepokalana!

Bieliny. *Ks. Henryk Radomiński.*





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana Naszego Jezusa Chrystusa
według Ewangelij Świętych opowiedziany
przez Sługę Bożego.

Tak więc cud w Kanie świadczy, czem jest pośrednictwo Maryi, jak jest potężne, a zarazem jak bezgraniczną jest Jej litość nad wszelką potrzebą naszą. Cud w Kanie nadto zjednał dla pierwszych Apostołów łaskę nad łaskami, będącą początkiem łask wszystkich, bo łaskę tej wiary, którą następnie po całym świecie roznieść mieli. Marya bowiem, zwracając się do Jezusa ze słowy: — Wina nie mają! — błagała Go, w znaczeniu przenośnem, o dar wiary dla pierwszych Apostołów, po których świat cały otrzymał dar ten dziedzictwem. W Piśmie Ś-tem wino często wyobraża wiarę, gdyż jak wino wzmacnia osłabione ciało, tak wiara wzmacnia duszę. Dlatego Zbawiciel, czytający w każdem sercu, czyniąc zadość życzeniu Swej Matki, nietylko winem pokrzepił na siłe tych, za których Ona się wstawiała, lecz też wzmocnił wiarą nadprzyrodzoną ich dusze, a przez nich i nasze, co także było celem prośby Maryi.

Ś-ty Alfons, mówiąc o cudzie w Kanie galilejskiej, nadmienia:

„Dość jednego słowa Maryi do Syna, żeby otrzymała to, co pragnie. Chociaż bowiem Marya, chcąc otrzymać łaskę jaką, prosi o nią, ale

zanosi prośbę z powagą Matki i dlatego Jej prośby są tak przemożnemi.“

Tenże Święty tak tłumaczy okoliczność, że chociaż Jezus, odpowiadając Maryi, oświadczył, że jeszcze czas dokonywania przez Niego cudów nie nadszedł, jednak cud uczynił: „Jeżeli czas dokonywania cudów miał się rozpocząć dopiero wtedy, kiedy Jezus rozpocznie ogłaszać naukę Swoją, jakże mógł ten pierwszy cud stanąć na drodze wyroków Bożych? Odpowiadam, że nic tu nie zaszło niezgodnego z wyrokami Bożemi. Wprawdzie, mówiąc w ogólności, czas dokonywania cudów przez Jezusa jeszcze był nie nadszedł, ale od wieków Bóg postanowił innym wyrokiem powszechnym, że o co tylko Marya poprosi, nigdy nie dozna odmowy. Dlatego Marya, świadoma przywileju Swego, nie zafrasowała się wcale, gdy Jezus, jakby się zdawało, odrzucił Jej prośbę i postąpiła tak, jakby Jej prośba już wysłuchaną została.“

Podobnie wyjaśniają słowa Jezusa: — Co mnie i Tobie Niewiasto. — Ś-ty Jan Złotousty i Ś-ty Tomasz.

Słowem Jezus, w tem pierwszem wystąpieniu Swojem, jako Zbawiciel, w tem pierwszem objawieniu mocy Swojej jako Bóg, chciał wyraźnie okazać światu, jak potężnem jest wstawienictwo Jego Matki Przenajświętszej, a tem samem skłonić ludzi, aby Jej bezgranicznie ufali i w potrzebach swoich do Jej orędownictwa się udawali.

Nadmienia Ś-ty Bonawentura, że Jezus, po skończonej uczcie, powiedział do Jana:

— Pójdź za mną, a ja cię zawiodę na gody niebieskie.

Jan, odkąd stał się nieodstępnym uczniem Jezusa i w Jego sercu pierwsze zajął miejsce. Za przykładem Jana, poszedł brat jego Jakub, również matka Jana, znana w Ewangelii pod imieniem Maryi Salome, odtąd nieodstępnie Jezusowi służyć zaczęła.

Posłuchajmy z kolei, jak wyjaśnia cud w Kanie Ludwik Veuillot:

Sama obecność Jezusa na godach — mówi on — zawiera w sobie bardzo ważną naukę. Jezus przychodzi odnowić człowieka. Jak wstąpił w rzekę pokuty, aby uświęcić wodę, która będzie materyą odrodzenia duchowego, tak przybywa na te gody ślubne i uzacnia je cudem, żeby uświęcić na zawsze małżeństwo, przyszły Sakrament, mający oczyścić źródło życia.

Małżeństwo nawet u Żydów było wówczas związkiem bardzo lekceważonym. Dziejopis Józef, człowiek poważny, podaje nam o sobie, iż trzy razy rozwodził się z żoną. Rozwód i bezżeństwo wyniszczały społeczeństwo rzymskie. Cesarz August szukał na to lekarstwa. Żądał w tym celu praw od swego senatu i wierszy od swoich poetów. Lecz dopiero Jezus nadał małżeństwu podwójny majestat Sakramentu i nierozwiązalności. Przeciwko nieprzyjaciołom, którzy będą chcieli pogrą-

żyć małżeństwo w dawne upodlenie, daje temuż małżeństwu puklerz swej obecności, aby przynajmniej pomiędzy wiernymi jego nierozerwalność mogła przetrwać wszelkie zepsucie pojęć, obyczajów i praw. Poczyna tedy Jezus od małżeństwa, to jest od założenia rodziny chrześcijańskiej. Na podstawę kładzie wspomnienie Swojej Osoby, słowem Swojem dokonywa budowy.

Rozważając żywot Jezusa zawsze trzeba pamiętać, że wiele słów i czynów Jego nawet uczniowie i Apostołowie nie rozumieli całkiem i odrazu. Mieli oni cuda i mieć będą Ducha Ś-go; ale słowa owe były wyrzeczone i owe czyny były spełnione dla świata przyszłego, dla nas, co mamy je zrozumieć w ciągu wieków, bądź z owoców, jakie wydały, bądź z tłumaczeń Kościoła. Jestto nieustanny cud, zachwycający serca nasze, umysły nasze, oczy nasze. Zachwycać on będzie aż do skończenia świata całe potomstwo Chrystusowe. Manna padała z nieba zawsze ta sama, a jednak zawsze odpowiadała różnemu smakowi tych, którzy ją jedli. Ewangelia daje żniwo prawdy zawsze jedno, a zawsze nowe, odpowiednio do potrzeb świata w tym czasie, w którym się zbiera. Jasności dawniejsze pozostają w skarbnicy wiary; nowe jaśności przynoszą odpowiedzi, dane naprzód na zarzuty jeszcze nie podniesione, ale przez Ducha Ś-go przewidziane. Tym sposobem Ewangelia, w której wszystkie dawne proroctwa mają swoje spełnienie, jest sama ciągłem proroctwem.

Cud w Kanie był jednym z aktów proroczych, jakiemi Jezus, objawiając Swoje Bóstwo, chciał zarazem przepowiadać Swój Kościół. Pomnożenie wiary w uczniach było bezpośrednią przyczyną cudu, przyczyną dostateczną, ponieważ od ich wiary zależało ich i nasze zbawienie. Ale gdy Jezus działa, nie ogranicza się nigdy do okoliczności bieżących. W tem, cośmy słyszeli, wszystko pełne jest głębokiej nauki. Odpowiedź Jezusa Najświętszej Pannie to nowe oznajmienie Jego Bóstwa, koniecznie potrzebne przy rozpoczęciu Jego zbawczej działalności.

Marya, oznajmiając, iż biesiadnicy wina nie mają, żąda od Jezusa cudu. Udaje się tedy do natury Bożej i natura Boża odpowiada Jej:

— Co mnie i tobie, niewiasto? Co spólnego między mną a Tobą?

Bo chociaż Marya jest matką Człowieka-Boga, a zatem z powodu nierozdzielności dwóch natur jest matką Boga, jednak nie jest matką Bóstwa i niema nic spólnego pomiędzy Nią a Bogiem, którego godzina jeszcze nie przyszła.

Są ludzie, którzy wskutek niedostatecznego zastanowienia się, dziwią się rzekomej surowości odpowiedzi Jezusa. Ale temi słowy Jezus chciał raczej światu dać światło niż Matce pieszczotę. Nie mamy też najmniejszego powodu przypuszczać, iż wyrażając Swe myśli, uchybił w czemkolwiek słodyczy i uszanowaniu względem Maryi. Marya nie

okazuje żadnego zdziwienia, żadnego niepokoju, iż nie będzie wysłuchana. Poleca służącym, aby robili, co Jezus nakaże. Zna Ona potęgę Swej prośby i w rzeczy samej — Jezus poddaje się Jej natychmiast, spełnia cud, jakiego pragnęła. Objaśnia On tym sposobem naprzód, już pierwszym czynem publicznym Swego posłannictwa, doniosłe to słowo, które wypowie z wysokości krzyża, gdy posłannictwo będzie dokonane, a mianowicie:

— Człowiecze, oto Matka twoja! Oto Ta, która nieustannie prosić będzie za tobą, a której ja wysłucham zawsze, odmieniając nawet porządek natury i bieg rzeczy.

I oto woda zmienia istotę swoją, staje się winem wybornem. Cud ten jest skutkiem wprost woli Boga, Jego słowa wewnętrznego. Słowo człowieka tylko *znaczy* — słowo Boga *sprawia* zarazem to, co znaczy, tworzy to, co wypowiada. Ziemi nie było, ani nieba, ani morza: Bóg przemówił i rzeczy te istnieć poczęły. To samo słowo, które tworzy, czego nie było, sprawia, iż to, co jest, trwa albo niknie, albo się przeobraża. Może też to słowo sprawić, iż dana rzecz, bez zniknięcia i przeobrażenia, zmienia się. Odpowiednio do woli Bożej, wszelka materya i każda cząstka materyi może albo popaść w nicestwo, albo otrzymać taki stopień istnienia, jaki się Bogu podoba. Zawiera On ją, przenika, zmienia jej przymioty, słowem robi z niej, co chce i ona jest tem, czem On jej być nakazuje. Święty Ambroży mówi: Zwyczajem to jest Boga, iż działa On przez zmianę substancyi (to jest treści rzeczy, materyi, z której rzecz jest utworzona), gdy chce pokazać, iż jest Twórcą natury. Laska zmienia się w węża, zeschła gałązka rozkwita, woda rzek staje się krwią, fale wód stają się murem, żelazo pływa na powierzchni potoków, garstka mąki i kropla oliwy nie mogą się wyczerpać. Pismo Ś-te pełne jest cudów podobnych, abyśmy poznali, że wszystko jest dziełem Boga i wszystko Go słucha.

Objawiając na nowo w Kanie ten znak Swej wszechmocy, Bóg sprawia w sposób doraźny to samo, co również cudownie sprawia codzień, chociaż na to nie zwracamy uwagi. Bo codzień woda, z obłoków spadająca, przesiąkając we wnętrze ziemi, wessana przez korzenie winogradu, pod wpływem promieni słońca, wypełnia winem grona. Przemiana natychmiastowa nie jest ani trudniejszą, ani bardziej tajemniczą niż ta druga przemiana powolna. Ten, kto z niczego stworzył przeróżne substancye i narzędzia, służące do ich przekształcenia, może te substancye przekształcić bez użycia substancyi.

Zmiana, jakiej Jezus dokonywa w naturze wody, jest zarazem proroctwem i figurą tego, co ma dokonać w naturze ludzkiej. Sześć owych stągwi, przeznaczonych na wodę oczyszczenia, jest to sześć okresów, na jakie dzieli się czas, poprzedzający przyjście Mesyasza; więc: od Ada-

ma do Noego; od Noego do Abrahama; od Abrahama do Mojżesza; od Mojżesza do Dawida; od Dawida do niewoli babilońskiej; od niewoli babilońskiej do Jezusa Chrystusa. Sześć tych okresów obejmują objawienie przyszłego Mesyasza, wyrażane przez wodę w języku biblijnym. Bez tego objawienia, koniecznego dla oczyszczenia Żydów, czasy poprzednie byłyby bezpłodne i czcze. Chrystus był już w tych czasach, ale ukryty, jak w pewien sposób woda zawiera wino, chociaż znaleźć go tam nie można. Na rozkaz Jezusa, sześć stągwi napełniono aż po wierzch, ponieważ proroctwa w Jezusie otrzymały swoje wypełnienie. Przeto przemiana wody w wino wyobraża wszystkie tajemnice odkupienia: Prorocy je zapowiadali, Chrystus je urzeczywistnia.

Żydzi posiadali tę wodę, ale była ona dla nich tylko wodą, środkiem oczyszczenia zewnętrznego, więc czczego, jak owe ustawiczne obmywania faryzeuszów. Umywali oni swoje ręce, a dokonywali spraw bezpłodnych lub nieczystych; pili, a serca ich nie czerpały stąd ciepła, siły ani radości. Księgi Proroków — mówi Ś-ty Augustyn — wydają się niedorzecznemi i nudnemi, gdy się ich nie rozumie; żeby zaś je rozumieć, należy w nich odnaleźć Jezusa. Ponieważ Żydzi nie upatrują w nich Jezusa, więc czytają je nie rozumiejąc i tłumaczą szpetnie przeinaczając; ponieważ zaś nam ukazuje się w nich Jezus, więc zachwycają one nasze dusze. Teraz rozumiemy miłosierne serce Maryi, gdy mówi Ona do Syna Swego:

— Wina nie mają!

Znaczy to:

— Panie! brak im siły, brak im wesela, brak im światła! Miej litość nad nimi, przyśpiesz dzień Twój, daj im wina Prawdy!

A Jezus, przemieniając na prośbę Matki wodę na wino, obiecuje, iż znaczenie literalne zamieni na znaczenie duchowne, literę (to jest treść dosłowną), która zabija, zastąpi duchem, który ożywia, i że na miejsce figury da rzeczywistość. Przemieni wodę na wino, gdy da uczniom prawdziwe rozumienie Pisma Ś-go, gdy ich napoi świętym zapałem na te rzeczy, na które dawniej patrzyli zimno i obojętnie. Cudowne to wino dokona jeszcze innego przeobrażenia, innego cudu. Przez nie bezwstydni będą czystymi; pyszni staną się pokornymi i cichymi; ci, co drżą przed światem, będą napełnieni odwagą do wyznawania Boga.

Bo stanie się większy jeszcze cud. Oto wino Kany ukazuje nam pod figurą tajemnicę tajemnic: Eucharystyę—Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej. Pierwszy tedy akt publicznej działalności Jezusa jest proroctwem tego, co właśnie stanowi przedmiot Jego posłannictwa. Przygotowuje wiarę w Sakrament, będący uwieńczeniem tego posłannictwa, a zarazem niepojętym cudem. Chciał Jezus tym sposobem — mówi jeden z Ojców Kościoła — dać nam uprzedni znak władzy, przez którą później, usta-

nowieniem Eucharystyi, miał przemienić wino na Krew bo w rzeczy samej, wino poświęcone, konsekrowane, staje się prawdziwą Krwią, jak woda w Kanie stała się prawdziwem winem.

Pismo Ś-te nadmienia o tem winie kielicha, iż „rodzi panny,“ ponieważ wewnętrzna moc jego, gasząc wszelki płomień ziemski, zapala w duszach ogień miłości najwyższej. Chociaż wino Kany było tylko figurą Sakramentu Ciała i Krwi, Jezus wszelako i do niego przywiązał łaskę Swoją. Nietylko uwierzyli w Niego ci, którym dał to wino, ale wielu z nich za Nim poszło. Nowożeniec został Apostołem, oblubienica zamieszkała przy Najświętszej Pannie. Obecność Jezusa i Maryi na godach uświęciła uczucie, w jakiem się nowożeńcy połączyli: łaska czystości dziewiczej nagrodziła te czyste serca. Ukochali się oni tą ważną i świetną miłością, która poświęcając wszystko Bogu, otrzymuje od Niego wzamian wdzięk niebiańskiej siły i trwałości niezmiennej.

Takie były dzieła owego wielkiego dnia Kany, pierwszego dnia objawienia się Zbawiciela. Przedstawiają one to, co Jezus miał dokonać na tym świecie: wiarę uczniów, początek Kościoła, wstawienictwo Maryi, Świętych obcowanie. Lepsze wino pod koniec uczty wyobrażało naukę doskonałą dla ostatniego wieku świata, teraz rozpoczętego. Woda przemieniona w wino wyobrażała przemianę Starego Zakonu na Ewangelię, figury na Prawdę, strach na miłość. W ten sposób znakomity pisarz kościelny Bossuet streszcza naukę Ojców Kościoła. Z tego tłumaczenia przekonywamy się, jak dalece Jezus ukryty jest nawet w Ewangelii dla tych, którym się zdaje, że mogą Go znaleźć nawet bez światła podawanego przez Kościół.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Jakiż z tego co się dotąd powiedziało, można wyprowadzić wniosek? Przedewszystkiem ten, iż duchowe macierzyństwo Maryi w całej pełni objawia się i na Kalwaryi. Męka Jezusa wieńczyła dzieło, dla którego Syn Boży zstąpił na ziemię: — najwyższej Sprawiedliwości stało się zadość — zniewaga wyrządzona Panu zrównoważoną została przez chwałę, jaką otrzymał od Boga-człowieka, posłusznego aż do śmierci krzyżowej. Okup za wywyższenie upadłej ludzkości — całkowicie został spłacony; — śmierć krzyżowa przywróciła nam miano dzieci Bożych, a Najświętsza Marya Panna przez swój udział w ofierze Syna, ze swej strony przyczyniła się do tego życia w łasce Boga, które jest prawdziwem życiem. Tym sposobem Najświętsza Panna prawdziwie stała się naszą Matką i klątwa rzucona na grzeszną Ewę — ziściła się w osobie nowej Ewy, tylko w wyższym duchowym celu: i z boleścią będziesz rodzić dziatki. [1])

Niewiastę oną, ukazuje nam Ś-ty Jan w objawieniu, jako przyodzianą słońcem, księżyc mającą pod nogami i na głowie koronę z gwiazd dwunastu... i męczyła się, aby urodziła a oto smok wielki przed niewiastą, aby, gdyby porodziła, pożarł syna jej. [2])

Czy w tych słowach, bez naciągania tekstu, zawiera się to — co w nich ukazujemy? Albert Wielki odpowie za nas: Podczas Męki Jezusa, Marya jednoczyła się z Ojcem miłosierdzia w dziele najwyższej miłości, czuła się obowiązaną dzielić Mękę Syna i przyjąć miecz boleści, który przeniknął jej serce. Współcierpiąc z Jezusem, stawała się Jego *po-*

---

1) Gen. 3. 16

2) Ap. 12. 1 et s.

mocniczką w sprawie odkupienia i odrodzenia ludzkości; duchowe macierzyństwo nie było wolne od bólów rodzenia, a rodziła nas przez Syna i w Synu cierpiącym, — dlatego nazwaną jest niewiastą. [1])

Prawdę tę niejednokrotnie głosi Kościół. Oto w hymnie na dzień Matki Boskiej Bolesnej, wypowiada się jasno, jaki Najświętsza Marya Panna miała udział w dziele miłosierdzia. Boże, dawco łaski, spraw, abyśmy godnie rozważali boleści Maryi Panny i uczcili rany Syna Twego Jezusa. Niech nam przyniosą zbawienie obfite łzy Matki Bożej — tak obfite, iż mogą całego świata obmyć winy. [2])

Czy to pojmujemy? Łzy Matki naszej wylane u stóp krzyża mają tak wielką cenę, nie one same, ale w połączeniu z Męką Jezusa Chrystusa.

W tem miejscu mógłby kto postawić zarzut: jeżeli Najświętsza Marya Panna brała udział w tajemnicy krzyża, mamy dwóch odkupicieli: Chrystusa i Jego Matkę — więc krew Jezusa nie jest jedynym okupem naszej wolności — do tego były potrzebne innych także zasługi. Niech Bóg każdego strzeże, żeby śmiał coś podobnego utrzymywać.

Tak, Zbawicielu nasz, wiemy, iż tylko Tobie Samemu zawdzięczamy odkupienie nasze, — kiedy słyszymy te słowa pisma: „Jam jest, jam jest Pan, a niemasz oprócz mnie zbawiciela“, wiara nasza funduje się na słowie Twojem.

Ale pamiętamy także historyę upadku, a pamięć ta dopomaga nam myśleć, w jaki sposób Matka Najświętsza współdziałała przy odkupieniu świata i była, jak to orzekł Ojciec Ś-ty Leon XIII: asystentka w dziele odkupienia człowieka [3]) w niczem zasługi i chwały Zbawcy, nie zmniejszając, ani jej nie dodając ważności. [4])

Pewną jest rzeczą, iż Adam sam był pierwszą i decydującą przyczyną pierworodnego grzechu. Przypuśćmy, że on jedynie z własnej woli dopuszcza się nieposłuszeństwa woli Bożej — niewiasta nietylko nie pobudza Adama do upadku, ale stara się od niego powstrzymać — skutek grzechu byłby ten sam i mybyśmy się rodzili, jak synowie gniewu — i wydziedziczeni z łask Bożych.

I to jest prawdą, że poczęcie niewiasty, do którego nie przyłożył się Adam, jako ojciec — nie narażało go na grzech pierworodny. Przypuśćmy rzecz w odmienny sposób. — Niewiasta zgrzeszyła — mąż

---

[1]) Al. m. Quest. Missus est qu. 29 § 3 t. XX.

[2]) Quibus lavare sufficis
Totius orbis crimina — ad laudes.

[3]) Jsai 43, 11.

[4]) Sacramenti humanae Redemptionis patrandaę administra Leo XIII Ecc. Adjutricem populi 1895.

jej, pierwszy człowiek, pozostał wiernym Bogu — potomstwo jednego i drugiego byłoby wolnem od winy, do tyla to jest pewnem, że powinniśmy wiedzieć, iż główną przyczyną i jedynie wystarczającą do utraty łaski było nieposłuszeństwo Adama. — Pismo Ś-te jednak naucza nas: iż od niewiasty stał się początek grzechu i przez nie wszyscy umieramy [1]), a mówiąc słowami Leona XIII: „ona była asystentką Adama w sprawie upadku.“ [2])

I dla czego? Ponieważ zgodziła się na czyn kary godny i pobudzała męża do buntu przeciw Bogu. Wyprowadzona z Adama w stanie *niewinności* czyni go przestępcą, a przez niego i nas gubi — pomimo to pierwszym sprawcą upadku nie jest niewiasta, tylko pierwszy człowiek.

Czem była Ewa na początku wieków, tem stała się Marya po wypełnieniu się czasu zamierzonego. Gdyby Jezus Chrystus nie był na siebie przyjął długu naszego, bylibyśmy dotąd obciążeni sekwestrem wedle prawnego wyrażenia — jakiekolwiekby były zasługi i cnoty Najświętszej Panny. A choćby Zbawiciel działał sam, bez asystencyi Matki Swej — dzieło odkupienia byłoby w zupełności dokonane.

Podobało się Bogu dać nam Odkupiciela przez Maryę Pannę, chciał, aby ona uczestniczyła w dziele naszego wyzwolenia, żeby na to dobrowolnie przyzwoliła — i z tego powodu zawdzięczając dzieło odkupienia jedynie Osobie Jezusa Chrystusa, wielbimy i Maryę, jako Bogarodzicę, iż przez Nią przyszła nam wielka ta łaska.

Marya przewyższa Ewę, pierwsza niewiasta poddaje się pokusie, aby zadowolnić pychę i zmysłowość—do zguby swego potomstwa nie dążyła — wprost, chociaż stając się przyczyną i za następstwa odpowiedzialną była. Nowa Ewa przeciwnie — nadewszystko pragnęła zbawienia ludzi — chwały Bożej i dla tego zgodzila się na śmierć Syna i o ile to było w jej mocy, sama Go ofiarowała.

Czy może kto gniewać się lub potępiać za nadawanie Maryi przez wielu starodawnych pisarzy tytułu Współodkupicielki? Nie, zaprawdę!— ponieważ w tym tytule nikt z wiernych nie domyśla się nawet czegoś sprzeciwiającego się nauce dopiero co objaśnionej.

Nikt nie przypuszcza, aby Marya, współcierpiąc z Synaczkiem, mogła nas odkupić, ani też świętość swoją i miłość dla Boga kłaść na wadze grzechów naszych, które zmyła jedynie krew Syna Bożego, Boga i człowieka. Współudział Matki Najświętszej Maryi Panny zasadza się na dobrowolnem ofiarowaniu Syna, na zjednoczeniu i poddaniu się woli

---

[1]) Eccl. 25, 23.

[2]) Administra patrondae ruinae.

Bożej — przez odczucie i wielką świętą boleść, co wszystko łączyło się z Męką Zbawiciela i ofiarą wobec nieba.

Najlepszym wykładaczem tych pobożnych poglądów, popularnych w XII wieku, jest Ś-ty Bernard.

Słowa Germana Opata od Ś-go Marcina Turoneńskiego tak brzmią: Marya prawdziwie oną matką, o której napisano: i nazwał Adam imię żony Ewa, iż ona była matką wszech żywiących. [1]) Przecież sprawiedliwiej zwać się powinna matką obumarłych — ponieważ przywiodła do wyroku potępienia: Najświętsza Dziewica przeciwnie odzyskała to życie, jakie było straconem. To samo, co mówi Apostoł: a jako w Adamie wszyscy umierają, tak i w Chrystusie wszyscy ożywieni będą, możemy odnieść i do Matki Chrystusa, gdyż jak wszyscy umarliśmy przez Ewę, ożywieni jesteśmy przez Maryę. Raj zamknięty przez Ewę, Marya przystępnym dla wszystkich uczyniła. I słowa Pańskie: Uczyńmy pomoc jemu podobną, [2]) mogą się i do Najświętszej Maryi Panny stosować.

(D. c. n.)



[1]) Gen. 3, 20.

[2]) Cort. 15, 22.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Ks. heski i Sadowski, obaj katolicy, z podziwem spojrzeli na Millera. W obozie Szwedzi żadnego nabożeństwa nie odprawiali, żaden z nich nie wspominał dotąd o Bogu. Skądże jenerał tak nagle stał się nabożnym?

Zauważył Miller ów podziw, więc niezwłocznie jął się tłumaczyć, mówiąc:

— Myślicie, panowie, że my, heretycy (jak nas nazywacie) wiary i nabożeństwa nie mamy? Właśnie, że tak nie jest. Trzymam przy wojsku pastora, ten jutro zgromadzi żołnierzy, odprawi nabożeństwo i wybije z głowy łatwowiernym owe czary, o których w obozie głośno. Żołnierz nasz przez te baśni upadł na duchu, trzeba go podnieść, umocnić. Rozumiecie?

W klasztorze noc cała zeszła na przygotowaniach do spodziewanych szturmów. Pracy jeno drobne światełka przyświecały, pracowano zaś w cichości, ledwie rozkaz jakiś donośniej się ozwał, lub łoskot upadających kamieni i sypiącej się ziemi przerwał ową ciszę. Mularze i nie mularze nosili cegły, obrywy wczorajszych ruin, rozbierali wewnątrz przymurki i szkarpy stare, a wzmacniali ściany obwodowe. Nawet szlachta z czeladzią cegłę i wodę nosiła, wapno rozrabiała — kobiety kręciły się, posługując.

Kordecki, usiadłszy na kupie kamieni, z różańcem w ręku, głośno się modlił. Niekiedy przerwał modlitwę, podjął jaki ciężar, przyniósł go ukradkiem, położył i znów usiadł, niby dziecię, które unika oka starszych, zabronioną chwytając zabawkę. Inni zakonnicy nosili otwarcie kamienie i wodę.

Naraz uderzyła godzina północnego chóru. Zakonnicy udali się do kościoła, skąd wnet dał się słyszeć szmer modlitwy. Wśród nocy i ciemności odgłos ten ma w sobie coś dziwnie uroczystego. Przypomina szum lasu, rozmawiającego z niebem; morze, co od wieków gra pieśń smętną a tajemniczą. Modlą się zakonnicy — świat zasypia. Oni jedni kołacą do nieba westchnieniem za śpiących w grzechu, za znużonych żywotem, za obojętność dla Boga. Słabe światło świec żółtych oblewa twarze pokryte tęsknotą, zapałem, smutkiem lub przyobleczone skruchą.

W kościele też stoją trzy ubogie trumny białe poległych, trzema czarnemi całunami okryte. To już zwycięzcy. Inni wojują jeszcze. Na całunach wyszyte są trupie głowy i kości...

— Amen! — rozległo się w chórze, zakonnicy opuszczają świątynię, jeden tylko zostaje przy trumnach i powoli odmawia doniosłe wyrazy, łączące dwa światy:

— „Pan strzeże ciebie, Pan opieką twoją, czuwa nad prawicą twą. Za dnia słońce dopiekać ci nie będzie, ani będzie przyświecać księżyc nocą.

Pan strzeże cię od wszelkiego złego, Pan duszy twej strzeże...“

Pracujących nad wzmocnieniem murów zastał ranek mglisty, który z osłon wilgotnych rozpowijał świat senny, smutny... Lecz praca wkrótce się skończyła. Przeor, który położył pierwszy kamień z Krzyżem Ś-tym, również przyciągnął cegłę ostatnią:

— Na chwałę Twoją, Panie! Na upokorzenie nieprzyjaciół wiary świętej!

W obozie szwedzkim, nazajutrz po naradzie, otrąbiono nabożeństwo. Miller przykazał pastorowi, aby żołnierzom wybił z głowy dziwny postrach, dziwnie upartą myśl czarów katolickich, przeciw którym szli niechętnie, ze wzdraganiem. Wszystko niemal wojsko heretyckie wtłoczyło się pod szopy i namioty, w których naprędce nakryto stoły i poustawiano krzyże. Katolicy z dala spoglądali na to osobliwe nabożeństwo, w którem ani śladu nie było namaszczenia naszych uroczystych obrzędów. Pobożność lutrów zimna jest jak nauka, która ją natchnęła. Pastor mówił składnie, uczenie, ale to był człowiek, mówiący do ludzi głosem chłodnym rozumu, nie kapłan, nie natchniony posłannik Boży, otoczony tajemnicą i świętością. On wszystko tłumaczy, wszystko mieć chce jasnem, dowiedzionem, obrachowanem, pewnem, a do takiej strawy duchowej przyłożywszy usta, uczujesz, że cię nakarmić nie może,

bo jest czcza i pusta, bo człowieka chce nasycić ludzkiem, kiedy on Bożego pragnie.

Zaś na Jasnej Górze brzmiały dzwony, śpiewy i organy, lud padał na twarz ze starą pieśnią, rzewną, prostą a wielką — przed tajemnicą ołtarza. Tu wszystko osłaniało wzniosłe uczucie i słowo kapłana wiodło przez nią wprost na jasne stropy niebios, do Boga. Tu inaczej biły serca, wzdychały piersi, modliły się usta. Tu cud jaśniał, Chrystus umierał, krew Jego lała się na świat, a potęga dobrowolnego męczeństwa łamała ziemskie i piekielne moce.

Jeszcze się było „Święty Boże“ nie skończyło i nie odśpiewano jeszcze „Przed oczy Twoje, Panie“, a już do szturmu z zachodu, jak puszkarz o tem uprzedził, zabierali się Szwedzi. Zamoyski dojrzał bystrym swoim wzrokiem Weyharda i Machlera. Rej wodzili, wskazywali na mury, kierowali działa. Więc pan miecznik sieradzki rzecze do pana Czarnieckiego:

— W rzeczy samej, tędy chcą nam doskwierać.

— Nie ugryzą nas chyba — odparł pan Piotr — bośmy przez noc mur podwoili. A jak się szołdry krzątają! Jak się kręcą!

— Wątpieniu nie ulega, że zdrada była, aleśmy jej, za łaską Bożą, uniknęli. Teraz sami zęby potracą i głowy, a nie dadzą rady.

— Oho! zaczynają... Trzymajmy się! Baczność!

W tej chwili działa szwedzkie potężnie grać zaczęły, lecz naprędce wzniesione bateryе, kierowane licho, niewiele z początku zastraszyły. Co chwila przerywano ogień, kierowano kartauny na nowo. Ogromne ich kule przeważnie po dziedzińcach rozbijały bruki, bądź też krokiew gdzieś nadłamywały, z wielkim trzaskiem a małą stratą.

Miller, zapewniony solennie przez Weyharda o niemylnie dobrym skutku działowego ataku, przygotowywał się dowodzić szturmem ostatecznym, lecz minęło południe, a mury twierdzy stały nawet niewyszczerbione. Zestawili działa inaczej — to samo. Puszkarze spoglądali po sobie, mrucząc:

— A co? Czary ich bronią!

Weyhard latał, krzyczał, prowadzał za sobą Machlera, groził, płacił — mury skruszyć się nie dawały. Zniecierpliwiony Miller, przywoławszy Weyharda, zapytał go pół gniewnie, pół szyderczo:

— A co hrabio? Wyłom?

— Pracujemy nad nim.

— Jak waćpan myślisz: wiele też lat potrwa ta praca?

Szyderstwo tak dobodło Czechowi, że odparł oburkliwie:

— To rzecz puszkarzów, nie moja:

Miller spojrzał na niego bacznie i łagodniej przemówił:

— Uważasz hrabio, czary czy nie czary, w każdym razie coś osobliwego. Mamy szpiegów, zdrajców, zmowy, wiemy, z której strony mury słabsze, a gdy się weźmiemy do rzeczy — ani ich ukąsić! Co tu począć?

— Jenerale, to do mnie nie należy.

— Za pozwoleniem, mości hrabio! Waćpan mnie sprowadziłeś pod ten kurnik przeklęty, zaręczając, że dość, żebyśmy huknęli, a mnichy się poddadzą, więc radź teraz.

Kręcił się Czech, jak w ukropie.

— Alboż to moja wina, że żołnierza nabechtano plotkami o czarach jakichś tak, że ręki podnieść się boi... To z polskiego obozu rzucają strachy. Wszyscy, nie wyłączając starszyzny, potracili głowy.

— Do mnie waćpan pijesz?

— Ależ nie, tylko mnie boli, że pokutuję bez winy.

— Któż tedy winien? Ja?

Weyhard ramionami poruszył.

— Życie zjadłem w bitwach — ciągnął Miler — dobywałem wielu fortec, wiele widziałem dobywanych, a nic podobnego mi się nie przytrafiło! Bez rzeki, bez jeziora, bez nadzwyczajnych skał i ścian, prosty okop z przymurkiem — jak na żarty... I w dodatku z kimże mamy do czynienia? Z mnichami, do kroćset dyabłów! Mości hrabio, wolałbym wcale tu nie przychodzić!

— Z kwitkiem odejść niepodobna...

— To pytanie! — mruknął jenerał. — Z tego, co widzę, nie radbym się zakładał.

— Jakto?! — zawołał Weyhard. — Dozwoliłbyś miłość wasza dać przykład całej Polsce uzuchwalenia? Ależ to byłoby zgubne!

— Zważ hrabio, że nie mogę stać wciąż pod Częstochową.

— Za kilka dni wszystko skończymy...

— A cóżeśmy zrobili przez tyle tygodni?

— Więc teraz bez traktowania, wprost każ jenerale zasypywać fosę, sprowadzić tarany, drabiny i do szturmu. Walić mury, tłuc, strzelać!

— Waćpan jedyny jesteś do... gadania. Ale co zrobisz z żołnierzem, któremu głód doskwiera, mróz w pięty gryzie a strach za plecami strzyka. Nawet ognia w nocy rozpalić nie można, żeby się ogrzać. W dodatku — tu jenerał uśmiechnął się nieszczerze — owe czary...

— Jenerale, to bzdurstwa, baśni!

— Wybijże je ze łbów prostactwa... Otwarcie jednak mówiąc, kto wie, czy tam prawdy w onych gadaniach niema?

Weyhard wzgardliwie usta odął, co widząc, Miler zaperzył się.

— Waćpan, uważam, w nic nie wierzysz?

— Przynajmniej nie w czary.

Na to Miller sucho:

— Do zobaczenia.

Cofnął się do namiotu, a siadłszy naprzeciw odsłoniętego wejścia, mówił do siebie:

— Garść mnichów, marna garść mnichów i ten gołębnik? Co u kata, miałżebym sławę moją pogrześć w tym śmietniku? Oszaleć można! Wyraźnie coś niepojętego, a ten nie wierzy. Przecież z prostej baśni strach nie opętałby tak całego wojska? Widocznie działa tu siła nieziemska. Armaty, żołnierz, sztuka, doświadczenie — wszystko za nic. A odchodząc z niczem, na pośmiewisko się narażę...

Pięścią o stół grzmotnął.

— Wściec się można! Żeby szczerba, żeby dziura — jak z żelaza. Kłamca jest Machler a Weyhard to dworski liziłapa. Zwiódł mnie i zwodzi! On, on bigosu narobił! Niechże go szatan porwie!

Ze złością patrzył stary jenerał na swoich, którzy kręcili się niechętnie, strzelali bez skutku, a do twierdzy zbliżali się z obawą. Tysiące drobnych przeszkód ustawicznie przerywało szturmy przedsiębrane: tam łoże armatnie się zepsuło, obsunęła się kartauna; owdzie wóz z prochem ugrzązł, kula klasztorna zabiła puszkarza; rozkazy dawano niezrozumiale, a spełniano niezręcznie. Słowem wszystko szło opornie. A żołnierz wszystko zwalał na czary.

Ciury szwedzkie, Finlandczycy i inni, tak byli znużeni tym bojem bezskutecznym a w ciągu nocy niepokojem i chłodem, że Miller musiał im dać dzień wypoczynku. Śnieg zaczął przepadywać coraz częściej, mróz chwytał coraz sroższy, ziemia stężała, każda robota stawała się coraz cięższą. Żołnierze głośno sarkali i przeklinali.

Na nowej radzie wojennej, ks. heski utrzymywał, że najlepiej niezwłocznie ustąpić; Sadowski chciał później nowe wojsko przysłać, a teraz się cofnąć; inni różne środki opanowania twierdzy wymyślali, lecz ich zastosować nie można było. Miller wysłuchawszy wszystkich, zadecydował:

— Cofać się stąd niepodobna. Skorośmy przyszli, musimy swoje zrobić. Więc sypać szańce nowe, fosy ziemią zarzucać, nie czekając wyłomu.

— Ziemia zmarzła... — zauważył ktoś.

— Cóż z tego? My jej kopać nie będziemy. Spędzić łyków z miasta, chamstwo ze wsi, bić — a niech kopią!

W klasztorze zaraz się dowiedziano o zamiarach Millera (może przez żebraczkę Kostuchę, która zawsze miała wiadomości, co się u Szwedów dzieje...) — Kordecki przeto ze swoimi wiernymi przyjaciołmi rozważał, jakby się przeciwko tym nowym zakusom ubezpieczyć. Zamoyski, który był świeżo odczytał wziętą z biblioteki klasztornej księgę

Stanisława Karlińskiego, medyka i alchimisty, lecz także żołnierza dobrego: „Spraw i postępków rycerskich i przewagi opisanie krótkie, z naukami w tej zacnej zabawie potrzebnemi,“ sypał teraz sposobami obrony, jak z rękawa. Czarniecki wysłuchawszy go, rzekł:

— Piękne to, ale nadto uczone. Na mój rozum, winniśmy teraz użyć wszystkiego, co kole, bije, siecze, odpycha, pali, smali, piecze. Ponieważ zaś dali nam dziś fryszt, zamiast radzić w izbie, chodźmy się rozejrzeć wedle zgromadzenia środków odpornych.

Wyszli tedy na mury i wraz z załogą do roboty się zabrali. Co jeno gdzie było pozostałego rumowiska, kamienia, dylów, drągów kutych, haków zębatych, żelaztwa, broni, drzewa różnego, wszystko to układano w kupy pod ręką, aby na wypadek zbliżenia się do fos nieprzyjaciela, powitać go uczciwie. W dziedzińcach ustawiono kotły do nagrzewania wody i smoły, któremi miano zlewać Szwedów.

Dotychczas, z małemi wyjątkami, pogoda trwała, dni były jasne wesołe. Lecz właśnie z chwili, gdy Miller zapowiedział szturmy całą siłą, nastała pora mglista, ponura, nieprzeniknięte dla wzroku tumany białe zwisły nad obozem i twierdzą. Oblężeni nie mogli dojrzeć o kilka kroków, nie mogli widzieć przygotowań nieprzyjaciela, jego obrotów, zbliżania się, nawet na traf strzelać musieli. Od rana tak gęsta mgła osłoniła Jasną-Górę i obozowisko, że jasnogórscy i Szwedzi rady sobie dać nie mogli. Przytem deszczyk drobny, cienki, zimny do kości przejmował, zwłaszcza tych ostatnich. Zafrasował się Kordecki, bo taka pora sprzyjała bądź co bądź Szwedom, ich kroki okrywając tajemnicą, natomiast Miller radował się z onej mgły i chcąc z niej korzystać jak najprędzej, kazał na gwałt się śpieszyć z zasypywaniem przekopów.

Zaledwie wydał rozkaz, gdy o kilka kroków usłyszał wystrzał i jęki. Coś go tknęło, zwrócił się w to miejsce i zdrętwiał z żalu i zgrozy: siostrzan jego, młodzieniec w lat kwiecie, leżał kulą w brzuch ugodzony. Siostrzana stary jenerał bardzo lubiał, więc dalejże zwoływać lekarzy na ratunek... Ale tu lekarzem śmierć była — młodzian nie przeżył nad chwil kilka.

Włosy rwał z głowy siwej Miller. Oprzytomniawszy wymiarkował, że strzał nie mógł pochodzić z klasztoru. Jakoż przekonano sie, że puszkarz jakiś wśród tej mgły, z której się Miller tak cieszył, oczyszczając śmigownicę, wypalił, mniemając, że do klasztoru mierzy, a zabił biednego wyrostka. Niepodobna opisać żalu, gniewu, wściekłości Millera. Dla tego zabitego młodziana zbierał po Polsce skarby, łupieżą i krwią zbryzgane; jak syna go miłował i za syna przysposobił; wszędzie go chciał mieć przy sobie, aby z oczu nie tracić ulubieńca, zasłaniać go od niebezpieczeństwa, otulać i pieścić, — a tu chwila jedna

odebrała mu faworyta. Martwy z bolu, niemal obłąkany, ucałowały stary wódz zimną twarz siostrzana i zwrócił się do żołnierzy:

— Gdzie jest ten, co strzelił? — zapytał.

Wskazano mu winowajcę.

— Kulą w łeb!—rozkazał chłodno, poczem jął wołać do oficerów:
— Sypać szańce! Zarzucać fosy!

Mgła nie rozwiewała się wcale, przeciwnie, jak gdyby gęstniała; wśród złowrogiego mroku ledwie o krok widzieć się było można. Szwedzi zaczęli strzelać do twierdzy — Jasna-Góra milczała. Wreszcie, jakby z chmur wychodzący, ukazał się lud, pędzony do przekopów, a z nich nagle wysunęła się stara Kostucha, przystanęła przy kontrskarpie. Zobaczyli ją żołnierze, kilku śmiałków strzeliło. Żebraczka rozśmiała się, ręką zaczęła ich wabić ku sobie. Owładnięci myślą czarow Szwedzi, zatrzymali się; napróżno trąby grały do szturmu — jak wryci, nie ruszali z miejsca. Ponieważ szereg ich zaciemniał wśród mgły, więc działa klasztorne błysły, zadymiły, zionęły gradem kul... Co było na przedzie starszyzny, padło rzędem, żołnierzy też sporo, reszta cofać się zaczęła, wołając:

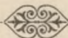
— Czary! Czary!

A Miller bił i naprzód pędził.

Lecz jasnogórscy raz zacząwszy, wciąż walili z dział, Szwedzi nie mogli się posuwać, trąby dały znak do odwrotu.

Mrok stawał się coraz gęstszy, noc zdawała się nadlatywać skrzydłami ptasiemi, coraz ciemniej a ciemniej, tylko wśród bielejących tu i owdzie płatów śnieżnych czerniały gromadki ludzi, ruszających się, jak mrowie. Działa klasztorne, chociaż strzelały na oślep, mimo to zmiatały Szwedów i dopiero ucichło, gdy zadzwoniono na Anioł Pański.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

Poczet łask cudownych w rozdziale pierwszym księgi czwartej:

R. 1650. Jan i Krystyna Strzyżowscy, małżonkowie rodu szlacheckiego, w województwie krakowskiem zamieszkali, złożyli na Jasnej-Górze, pod przysięgą, zeznanie, iż gdy im się synaczek urodził nieżywy, z rzewnym lamentem do Panienki Częstochowskiej się udali, a Ona im dziecię wskrzesiła, rozpacz ich w radość przemieniając.

R. 1703 wskrzesza Panienka Jasnogórska nieżywie urodzoną Maryannę Domaniewską.

R. 1709. Jan Sobieski, z rodziny króla Jana III, przybywszy na Jasną-Górę, złożył na ołtarzu cudownego wizerunku wotum złote, z wyobrażeniem Panny Maryi, oraz zeznał, co następuje: „Ja, Jan Sobieski, urodziłem się bardziej do poczwary niż do człowieka podobny, z głową większą niż samo ciało. Matka moja, to obaczywszy, z płaczem zaczęła wołać do Najświętszej Panny, cuda na Jasnej-Górze czyniącej, aby tę zelżywość oddalić ode mnie raczyła. Zaraz rozchodzić się i ustawać to poczęło, a należyta postać, uroda, proporcya ciała i członków stała się. Który to cud, żeby nie poszedł w zapomnienie, skorom podrósł i do rozumu przyszedł, obligowała mnie matka, abym się sam, osobą moją, na to miejsce święte stawił, z podziękowaniem i pamiątką tak wielkiej i cudownej łaski.“

R. 1713. Helena, szlachcianka, Macieja Celeńskiego małżonka, wydała na świat dziecię nieżywe. Ponieważ żadną miarą nie było można iskry dusznej z niego wykrzesać, przeto zrozpaczeni małżonkowie kazali dla noworodka, jako dla niechrzczonego, domek w polu pod Bożą Męką

wykopać i tam go pogrześć. Kiedy o tem myślą i mówią, przybywa nawiedzić położnicę sąsiadka, a widząc rozpacz małżonków, pobudziła ich, aby z nią poklęknąwszy, westchnęli do Panienki Częstochowskiej o ożywienie dzieciątka. Jakoż ledwie zaczęli odmawiać „Zdrowaś Marya“, dziecina się poruszyła, kichnęła, kwileniem dała znak życia. Zaraz ją ochrzczono, dając imię Ignacy. Dziecko wzrosło zdrowo i, odchowane, razem z rodzicami przybyło na Jasną-Górę, Panience za cud podziękować.

W rozdziale drugim części czwartej znachodzimy zdarzenia:

R. 1697. Jan Stanisław Dołożek, znaku pancernego chorąży, cieszył się synaczkiem już trzyletnim i miał nadzieję dalszych pociech z niego. Aliści złudnemi są nadzieje ludzkie. Synaczek zachorzał i mimo wszelkiej pomocy lekarzy — zmarł. Z łóżka na inne miejsce złożono trupa, okryto i gromnicę przy nim zapalono. Żałosny ojciec, spojrzawszy na obrazek Panienki Częstochowskiej, na ścianie wiszący, zdjął go, do ciała przystąpił, a odsunąwszy pokrycia i koszulkę, położył ów wizerunek na piersiach zmarłej dzieciny, z płaczem i ufnością wzywając Pani Anielskiej o miłosierdzie. Wołanie jego doszło do stóp tronu Panienki, ulitowała się boleści i wskrzesiła dziecinę.

R. 1717, podczas uroczystej koronacyi wizerunku Najświętszej Panny na Jasnej-Górze, szlachcianka jedna przyszła do zakrystyi, z synaczkiem lat ośm liczącym i rzekła:

— Przypatrzcie się Ojcowie! Oto ten chłopczyna już był umarł, już go pogrześć miano, ale ofiarowany Najświętszej Matce, cudownie ożył. Dlategom go tu na podziękowanie przyprowadziła.

R. 1708. Jakub Żakowicz, mieszczanin z Widawy, zeznał do akt klasztornych, iż córeczkę swoją Agnieszkę, w trzy niedziele po urodzeniu zmarłą, wziąwszy na ręce i poklęknąwszy przed obrazem Panienki Częśtochowskiej, który miał w domu, zawołał:

— Matko Miłosierdzia! U Ciebie i u Syna Twego nic niepodobnego niemasz! Racz mnie ratować i pocieszyć!

Gdy to wymówił, dziecina ożyła.

R. 1717 Pani Anielska wskrzesiła Franciszkę Ważykowską, córeczkę Elżbiety Ważykowskiej z Koźla.

R. 1669. Walenty Karanowicz, mieszczanin z Kamieńca, chorobą ciężką złożony, przez dwanaście niedziel pasował się ze śmiercią, która go w ostatku zmogła. Już go złożono w trumnie, już mu po kościołach dzwoniono. Cnotliwa małżonka, Dorota, nie mogąc się pogodzić z myślę sieroctwa, błagać Maryę o ratunek zaczęła. I oto wstał z trumny małżonek, odrzucił śmiertelne całuny, witał się z przyjacioły. Potem na miejsce święte z trzydziestoma świadkami zjechał, aby cud ten ogłosić.

R. 1680. Mikołaj Samuel Grocholski, wojski nowogrodzki, nie mógł przetrwać ciężkiej niemocy. Zmarł i trzy dni już leżał. Dnia czwartego, gdy go grzebać miano, porwał się z trumny rzeźki i zdrowy. Spytany, jakim sposobem się to stało, odparł:

— Gdy choroba tak mnie przycisnęła, żem nie mógł usty wzywać Najświętszej Panny, ani wyznać grzechów na spowiedzi, sercem i myślą oddawałem się Królowej Anielskiej, Ona mnie do życia przywróciła.

R. 1680. Jan Klukowski, towarzysz pancerny, z bystrego konia w impecie spadłszy, kark złamał i umarł zaraz. Ci, którzy z nim jechali, dali znać o wypadku przyjacielowi zmarłego, o dwie mile mieszkającemu, Mikołajowi Samuelowi Grocholskiemu, wojskiemu nowogrodzkiemu, o którym wyżej nadmieniliśmy. Grocholski natychmiast na miejsce wypadku przybył, a wspomniawszy sobie, iż nad nim Panienka Jasnogórska niedawno się zmiłowała, westchnął do Niej z ufnością:

— Najświętsza Panno Częstochowska! Jakoś ze mną cud uczyniła, i teraz racz ożywić tego człowieka, żeby Tobie i Synowi Twojemu służył jeszcze.

Po takiem ofiarowaniu, umarły powstał z ziemi, a był rzeźki tak dalece, że o własnej mocy konia dosiadł i ruszył w drogę.

R. 1715. Jan Brzuchański, mieszczanin poznański, długo się mordował w ciężkiej niemocy, aż zmarł, nie zaniedbawszy Świętemi Sakramentami się opatrzeć. Dwa dni leżał w trumnie, Msze za duszę jego odprawiano, naraz dnia trzeciego ożył. Na pogrzeb zebrani ludzie, widząc go powstającym z trumny, uciekać od niego zaczęli, on zaś zawołał:

— Nie uciekajcie! Wiedzcie, iż to Najświętsza Panna mnie ożywiła, do której w ostatniej godzinie myślą i sercem się udałem.

R. 1720, prałat kijowski, proboszcz topczewski zapisał w aktach klasztornych takie zeznanie.

„Na chwałę Bogu Najdobrotliwszemu, Najwyższemu, Bogarodzicy Maryi na Jasnej-Górze Częstochowskiej, cudotwórczej żywych i zmarłych Matce i Opiekunce.

Ja, Michał Pruszyński, kanonik kijowski, pleban topczewski, dyecezyi łuckiej, województwa podlaskiego, zeznawam, świadczę i związuję się przysięgą na krucyfiks Zbawiciela mego z dotknięciem palców, jak wielkie rzeczy ze mną się stały.

Przed zaczęciem roku teraźniejszego 1720, przez dwa blizko roki chorowałem ciężko po wszystkiem ciele tak, że potem mnie, władzy niemającego, przewracać na łóżku musiano. Nadto puchliną aż do wnętrza nawiedzony byłem. Wreszcie zaniewidziałem i ogłuchłem, przy rozumie jednak, pamięci i mowie wolnej zostając. Zawczasu tedy od pół roku miałem trumnę gotową i szykowałem się na śmierć.

Czując się już najgorzej, dysponowany i opatrzony Sakramentami Świętemi przez ichmościów księży: Piotra Markowskiego z Domanowic, Piotra Brzozowskiego z Wyszkowej i Jakuba Kruszowskiego z Pietkowic, plebanów a testamentu mego egzekutorów, w poniedziałek, dnia 8 stycznia roku tego skonałem. Obleczonego tymczasem w albę kapłańską, włożono mnie do trumny, wierzchem zamknięto i do komory bez okien, na mróz ciężki, wyniesiono. Tam od godziny szóstej z rana do czwartej wieczornej leżałem umarły.

Dziwna i niepojęta rzecz! Ukazał mi się sędziwy starzec, włosów i brody siwej, w habicie i płaszczu białym. Wziąwszy mnie za rękę prawą, tak, żem we wszystkich kościach i stawach ból uczuł, rzekł do mnie te słowa:

— Idź, uczcij obraz Błogosławionej Maryi Panny na Jasnej-Górze Częstochowskiej, a żyć będziesz.

Wierzę, iż to był Ś-ty Paweł pierwszy pustelnik, ojciec i patryarcha zakonu jasnogórskich Ojców, którego święto trzeciego dnia, to jest 10 tegoż miesiąca następowało.

Tak tedy w trumnie ożywszy, wołałem:

— Jezu! Maryo Najświętsza, Panno Częstochowska!

Słysząc to, ubodzy, czuwający natenczas przy trumnie, uciekli ode mnie, dając znać o tem domowym moim, a następnie wróciwszy z domowymi moimi, odbili trumnę, podnieśli mnie i do ciepłej izby zaprowadzili.

Dziwna rzecz! Zaraz wtedy do widzenia, słyszenia, władzy rąk i nóg przywrócony zostałem.

Uznawszy niegodny tak wielką łaskę i miłosierdzie Pana i Stwórcy mojego nad sobą, przez przyczynę Najświętszej Maryi Panny w cutwornym obrazie częstochowskim, na cały świat cudami słynącej, lubo postanowiłem odprawić drogę do Częstochowy, uważając jednak dalekość drogi, zimę ostrą i przykrą, odłożyłem do wiosny podróż moją, którą teraz przy łasce Bożej odprawiłem, mil stąd blizko siedmdziesiąt.

Przybyłem tu do Częstochowy dnia 12 czerwca, na podziękowanie Panu Bogu, Najświętszej Pannie i Ś-mu Ojcu Pawłowi, pierwszemu pustelnikowi, za tak cudowne ożywienie i osobliwie też tu, co w chorobie czułem, widziałem i po ożywieniu mojem słyszałem od oczywistych świadków, zeznawam pod przysięgą, w obecności przewielebnego Ojca Brunona Janickiego, prowincyała, tudzież innych Ojców jasnogórskich, i na to się ręką własną podpisuję.

Działo się na Jasnej-Górze Częstochowskiej, dnia 14 czerwca, r. Pańskiego 1720. Michał Pruszyński, kanonik kijowski, pleban topczewski.“

(D. c. n.)

ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

VII.

Ładysław z Gielniowa.

Ładysław nabył tak przeważnego wpływu w swoim zakonie, że chociaż złożył dostojność, Bernardyni zawsze uciekali się do jego rady i opieki. Ustawicznie im też przewodniczył, a żadnej pracy się nie lękał, żył jedynie poświęceniem się i pobożnością. Przeciw Turkom głosił krucyaty. Gromadził Kapituły do Warszawy, na których obierano prowincyałów. Kiedy już dobrze zaszedł w lata, zakon chciał, żeby odpoczął po tylu trudach, dlatego pozwolił mu wybrać miejsce na zamieszkanie i Braciszka do usług. Wiemy, że Ładysław przeląkł się ofiarowanych wygód, podziękował za nie i o pracę prosił. Jakoż obrano go gwardyanem warszawskim, on zaś jeszcze kaznodziejstwo w kościele Ś-ej Anny przyjął. Lecz były to już ostatnie błogosławione prace. Po kazaniu w Wielki piątek, podczas którego wpadł w zachwycenie i nad ambonę się uniósł, zachorzał mocno, a choroba o śmierć go przyprawiła 4 maja 1505 r. Pracował w zakonie lat 40 i 9 miesięcy, a tam znalazł śmierć, gdzie sukienkę zakonną oblókł. Warszawa opłakała zgon świętobliwego męża, którego grób niebawem zasłynął cudami.

W dwa lata po śmierci Ładysława, pożar nawiedził kościół Bernardynów warszawskich. Tak zwany mur pruski spłonął łatwo. Antoni z Biecza, gwardyan, zabrał się do odbudowania domu Bożego, a za-

czął budować naprzód klasztor, z refektarzem i kuchnią, za pieniądze mieszczanina warszawskiego, Baltazara Następca Antoniego z Biecza, Jan z Komorowa, dokończył odbudowy, wzniósł kościół i klasztor na dole i na górze, po nad całym gmachem zarzucił wiązania i dachy, lecz zaledwie skończył pracę, we dwa lata nowy pożar, i to z umyślnego podpalenia wynikły, zniszczył nowo powstałe budowle, a nawet całe przedmieście. Komorowski pojechał na Kapitułę do Samborza, r. 1515, uskarżyć się na nieszczęście. i tam go spotkała miła niespodzianka, bowiem Beata z Tęczyńskich Odrowążowa, wojewodzina ruska, która założyłą i zbudowała po raz drugi klasztor Bernardynów w Samborzu, usilnie go na Kapitule poparła, a jednocześnie z ofiarą na odbudowanie warszawskiego klasztoru zgłosiła się Anna księżna Radziwiłłówna, wdowa po Konradzie mazowieckim i Jan Lubrański, biskup poznański.

Komorowski, na nowo obrany w Samborzu gwardyanem warszawskim, wrócił do Warszawy i zajął się gorliwie trzecią odbudową kościoła, co oczywiście, przy takich pomocach, szło mu łatwo. Ten napływ ze wszech stron ofiar (bo mieszczanie warszawscy także pospieszyli z datkami), był powodem, że podczas odbudowy tworzyły się nowe dla ozdoby świątyni pomysły i że sama budowa przeciągnęła się znacznie. Komorowski jej nie skończył, jego następcy prowadzili w dalszym ciągu rozpoczęte dzieło. Księżna Anna mazowiecka szczególnie łożyła na sam kościół. Rozszerzona znacznie, podzieliła się teraz świątynia na trzy nawy, bo do dawnych trzech kolumn na prawo, które jeden bok kościoła stanowiły, księżna kazała dodać trzy z lewej strony i tym sposobem drugą nawę boczną wzniosła Kościół tedy stał się przestronniejszym i wspanialszym. Biskup Lubrański, wielki przyjaciel Bernardynów, ufundował nawę mniejszą, to jest chór z nakryciem i sklepieniem.

Księżna Anna umarła przed końcem odbudowy, 15 marca 1522 r., ale zapisała na odbudowę tysiąc złotych. Pochowali ją za to Bernardyni w swoim kościele i grobowiec z napisem odpowiednim umieścili w ścianie na lewo od wielkiego ołtarza, zaraz przy stallach. Zapis matki powinni byli oczywiście spłacić synowie. Jakoż Stanisław oddał swoje 500 złotych, lecz Janusz, opętany przez złych ludzi, jak czytamy w kronice klasztoru, dał tylko złotych 90, zażądał zaś od Bernardynów kwitu na całą sumę. Trudno się było oprzeć woli księcia panującego, Januszowi kwit doręczył syndyk klasztoru, w imieniu po raz trzeci obranego gwardyanem warszawskim Komorowskiego. Całą budowę ukończono w r. 1533. Podczas niej klasztor warszawski podniesiony został na stopień klasztoru kustodyalnego. Także podczas budowy głód i zaraza trapiły Warszawę, a odwrócenie tych klęsk lud przypisał Ładysławowi z Gielniowa.

Postać tego męża w przeciągu pół wieku tak w oczach ludu wyolbrzymiała, pamięć jego cnót i zasług tak dalece się rozwielmożniła, że mu cześć publiczną w warszawskim kościele Bernardynów oddawać zaczęto. Odgłos ogólnego uwielbienia dla tej pamięci przeniknął nawet do najwyższych sfer społeczności, przeto duchowieństwo zajęło się tą sprawą i postanowiło, aby ku czci publicznej podnieść z grobu kości Ładysława. Głównie myśl tę popierał zasłużony w dziejach narodu i Kościoła polskiego biskup Stanisław Karnkowski. Obrząd wydobycia z grobu świętych szczątków odbył się z wielką wystawnością. W tym celu Karnkowski, jak nadmieniliśmy wyżej, uprosił dla siebie pozwolenie dwóch nuncyuszów, którzy się wtedy znajdowali w Polsce, to jest: kardynałów Commendoniego i Portica; uprosił także biskupa poznańskiego, że mu pozwalił rozporządzać się tem w swojej dyecezyi. Uroczystej ceremonii dopełnił Karnkowski w roku 1572, podczas sejmu, wobec króla, siostry jego Anny Jagiellonki, obydwóch kardynałów włoskich, senatu, biskupów, posłów i tłumów ludu. Wydobyte kości Ładysława opieczętowano, złożono w ścianie na prawo od wielkiego ołtarza, miejsce to zasunięto wielkim kamieniem, z wyrytym na nim wizerunkiem Ładysława, a wyżej zawieszono inny wizerunek tego świętobliwego męża, malowany na drzewie. Wkrótce na prawo od tego miejsca zaczęto budować ołtarz, który się z biegiem czasu przemienił w osobną kaplicę, a na tym ołtarzu Mszę Ś-tą codziennie odprawiać zaczęto. Żył wtedy w zakonie Bernardynów kaznodzieja i poeta, ksiądz Fabian Orzeszkowski. On to pierwszy napisał żywot Ładysława i Rafała z Proszowic.

Wielkimi w tym czasie dobrodziejami klasztoru Bernardynów warszawskich byli: książę prymas Karnkowski i Anna Jagiellonka. Prymas do tego stopnia zachował cześć dla Ładysława, że ilekroć bawił w Warszawie, zawsze u Bernardynów obierał mieszkanie. Tu również mieszkał w czasie burzliwego wyboru króla, po Stefanie Batorym. Zborowscy chcieli go uprowadzić z klasztoru, gdy się oświadczył przeciwko wyborowi Maksymiliana, ale bacznie oko kanclerza Zamoyskiego czuwało nad sędziwym prymasem. Zamoyski klasztor obsadził silną załogą, pod dowództwem Stanisława Pękosławskiego, starosty sandomierskiego i prymasa w bezpieczniejsze schronienie, do zamku, przeprowadził. Spisek tym razem się nie udał, lecz kiedy następnie część szlachty królem arcyksięcia Maksymiliana ogłosiła, na kościół Bernardynów spadła, zaraz nazajutrz po tym wyborze, w niedzielę, burza. Zwolennicy arcyksięcia chcieli śpiewać „Ciebie Boga chwalimy" w kolegiacie Ś-go Jana, gdy zaś ich do miasta nie wpuszczono, udali się na przedmieście i owładnęli kościołem Ś-ej Anny. Znajdowali się pomiędzy nimi posłowie austryaccy i hiszpańscy, biskupi, magnaci i szlachta. Kardynał Radziwił od-

prawił Mszę Świętą, a marszałek nadworny, Zborowski, ogłosił królem polskim Maksymiliana.

Poseł papieski, kardynał Gaetano, bawiąc w Warszawie w r. 1587, bywał także z Karnkowskim na nabożeństwie u Bernardynów. Razu pewnego przyszedł tam w otoczeniu wielu biskupów. Wszyscy, przez uszanowanie dla kardynała, zostawili w domu swoje czapeczki, jeden tylko Karnkowski miał czapeczkę. Sekretarz kardynała tak się tem zgorszył, że aż sam kardynał musiał go uspokajać i dowodzić mu, że do takiego honoru arcybiskup gnieźnieński ma prawo. Po Mszy kardynał przez dwa dni zostawał u Bernardynów.

Sekretarz kardynała, Mucante, nazywa klasztor Bernardynów pięknym. Jakoż nawet wspaniałym musiał być ten gmach, jeżeli nadał nazwę całej części miasta, po za bramą Krakowską znacznie rozszerzonego. Za czasów książąt mazowieckich otaczały ten gmach pola i ogrody, potem dworki i chałupy zaczęły tworzyć ulicę, którą Czerską przezwano, a z ulicy powstało całe przedmieście Czerskie. Gdy dawna stolica książąt mazowieckich, Płock, upadła wobec Warszawy, ku końcowi 1499 r., całe to przedmieście nazwano od kościoła Bernardyńskiem i nazwa ta utrzymała się do czasów Zygmunta III. Jeszcze w r. 1582 akta miejskie całą tą dzielnicę nazywają „przedmieściem Bernardyńskiem albo Krakowskiem". Odtąd coraz piękniej zaczyna zabudowywać się Warszawa, przedmieście jej też coraz szerzej zakreśla się nad Wisłą, dlatego i nazwisko stare ginie, a z biegiem czasu zostaje tylko, po za bramą ku Krakowowi prowadzącą — przedmieście Krakowskie. Do wspomnień kościoła Bernardynów z końca XVI wieku należy dodać, że przed nim, na placu, margrabiowie brandeburscy (dzisiejsi cesarze niemieccy) składali hołdy królom polskim.

Nadmieniliśmy, że Anna Jagiellonka była drugą, obok prymasa Karnkowskiego, dobrodziejką kościoła Bernardynów. Jakoż za jej staraniem utworzone zostało przy tym kościele Bractwo Ś-tej Anny, a to wiele ozdób świątyni przyniosło. Sama Anna przepisała Bractwu ustawy w r. 1582, które we dwa lata potem kardynał Bologneti nieco zmienił. Zanim Bractwo uroczyście do kościoła wprowadzone zostało, Anna czyniła wszystko, żeby odrazu je rozsławić. Więc podarowała mu wielki krzyż srebrny, pozłacany, z relikwiami swojej Patronki i dyamentem na wierzchu. Krzyż ten podczas wojen szwedzkich zaginął. Staraniem Anny zapisywali się do Bractwa panowie, mieszczanie i kobiety. Arcybiskup Solikowski przywiózł dla Bractwa z Rzymu przywileje i odpusty, a sam król Batory i kardynał Radziwiłł uroczyście już nie Bractwo, lecz Arcybractwo Ś-tej Anny do kościoła Bernardynów wprowadzili. Papież bullę na to wydał w r. 1586, a przyjął ją ks. Michał Sławieński,

kanonik i oficyał poznański, już po śmierci Stefana Batorego, 17 września 1587 r.

Królowa Anna, wdową zostawszy, całkiem się modlitwom i praktykom religijnym oddała, więc na nabożeństwach arcybrackich zawsze ją widziano, gdyż nie dla tytułu przyjęła godność opiekunki i przełożonej Arcybractwa. Przez cześć dla niej, kościół zawsze był pełen, a pobożna pani zachęcała wszystkich, żeby się do Arcybractwa wpisywali, upominała mało pilnych w modlitwie, spostrzegłszy zaś czyją nieobecność, posyłała umyślnie pytać o przyczynę. Za jej czasów Arcybractwo kwitło, zwłaszcza panny miejskie odznaczały się pobożnością. Niebawem w kościele Bernardynów utworzyło się też Bractwo muzyczne Ś-go Franciszka, uprzywilejowane przez jenerała zakonu a wprowadzone w r. 1600 i do ołtarza Ś-go Franciszka przywiązane. Odtąd całą oktawę tego Świętego obchodzono uroczyście, a członkowie Bractwa, między innemi powinnościami, biczowali się w czasie postu.

Królowa Anna nadto w r. 1578 wzniosła przy kościele Bernardynów okazałą dzwonnicę, słynną w całej Koronie dzwonami. Wyznaczyła zakonnikom ze swoich folwarków jałmużnę stałą: 60 korcy żyta co Ś-ty Marcin, po złotemu co piątek i wolny wstęp do lasów Brudnowskich. Jałmużnę obwarowała przywilejem, który zatwierdził jej małżonek, Stefan Batory, a król Zygmunt III do tego wsparcia przydał jeszcze po sześć kawałów soli, dla każdego zakonnika, z żup warszawskich i łąkę w Brudnie. Następni królowie zapis ten zatwierdzali. W tym czasie Bernardyni, nabywszy od kolegiaty grunt zwany Nasierowskim (bo podarowany niegdyś przez książąt mazowieckich kanonikowi tego nazwiska) znacznie rozszerzyli swój cmentarz grzebalny.

W r. 1585, kardynał Jędrzej Batory uzyskał w Rzymie od Papieża Sykstusa V ważny dla Bernardynów warszawskich przywilej, a mianowicie, że ile razy w ich kościele odprawi Mszę żałobną przed ołtarzem Najświętszej Panny Bolesnej, tyle razy dusza, za którą się modli, dostępuje zupełnego odpustu.

W ostatnich latach przed pierwszą wojną szwedzką, słychać u Bernardynów o staraniach w sprawie kanonizacyi Ładysława z Gielniowa, i o sporach, które zresztą dotyczyły całego zgromadzenia. Według kroniki klasztornej, w r. 1610 relikwie Ładysława same się otwarły, przeto je do innej złożono urny, a wskutek tego zdarzenia Bernardyni warszawscy usilnie zabiegać o kanonizacyę Ładysława zaczęli. Jerzy Godziszewski, prowincyał, prosił biskupa Wężyka, żeby zarządził śledztwo cudów, które się działy przy grobie Ładysława. Najgłośniej popierał kanonizacyę ksiądz Wincenty Morawski, jeden z głośnych wówczas pisarzy zakonnych, lektor teologii i definitor prowincyi. Śledztwo rozpoczęte 2 marca 1627 r. trwało ośm miesięcy.

W tym również czasie, we Włoszech, Niemczech i Francyi, niesnaski wewnętrzne rozdzieliły Braci Ś-go Franciszka na dwa obozy, zakon rozszczepił się na Reformatów i Bernardynów. Do Polski zjechał ksiądz Antoni Strozius, komisarz jeneralny zreformowanych zakonników, zaczął odwiedzać klasztory, usilnie nakłaniając wszystkich Bernardynów ku reformie, czem wielkie wywołał zgorszenie i nieukontentowanie. Nakazał też Kapitułę do Warszawy, która istotnie zebrała się tutaj. Długo ją Strozius przeciągał, ale niczego nie dokazał, bo miał do czynienia z bardzo gorliwym obrońcą reguły, przezacnym prowincyałem Godziszewskim, następcą Leona Starczewskiego. Bernardyni, nie mogąc się Stroziusowi opędzić, odwołali się do Rzymu, bo nuncyusz w Polsce nie przyjął od nich apelacyi. Strozius rzucił klątwę na Bernardynów i przeniósł się do Reformatów warszawskich. Do Rzymu pojechał Ojciec definitor Remigi Lasocki, i usprawiedliwiwszy swoich, przywiózł nakaz do nuncyusza, żeby starał się pogodzić zagniewanych na siebie Braci Ś-go Franciszka. Nuncyusz spotkał opór. Reforma bowiem zamierzała znosić w Polsce Obserwantów, — Obserwanci zaś nie chcieli przyjąć reformy, zalecanej przez Stolicę Apostolską. Król sprowadził Reformatów do Polski, więc chciał im pomagać. Wtedy powstała myśl rozdziału prowincyi na kilka, a Strozius gorąco ją uchwycił, mniemając, że podzieliwszy Obserwantów na kilka części, snadniej jedność ich potem rozerwie. Rzym tedy nakazał nową do Warszawy Kapitułę, żeby tę sprawę ostatecznie skończyć.

Kronika klasztoru warszawskiego wiele kart poświęca tej sprawie. Przytacza wiele listów, pisanych w tej materyi do Rzymu, do Papieża, kardynałów i innych ważnych osób, przez królewicza Władysława, przez kanclerza Albrychta Stanisława Radziwiłła. Oskarżająte listy Stroziusa i bronią wogóle Bernardynów.

Kapituła odbyła się w Warszawie 19 lutego 1628 r. Prezydował na niej nuncyusz Santa Cruzze. Podzielono Bernardynów polskich na cztery prowincye: małopolską, wielkopolską, litewską i ruską. Warszawa dostała się naprzód do prowincyi ruskiej, ale we dwa lata potem klasztory litewskie i ruskie połączyły się napowrót z małopolskiemi; gdy wielkopolskie do tego przystąpić nie chciały; klasztory mazowieckie, z Warszawą, i pruskie wcielono ostatecznie do prowincyi wielkopolskiej.

Niesnaski opisane odwlokły sprawę kanonizacyi Ładysława, ale jej nie zwichnęły, bo Bernardyni warszawscy popierali ją wciąż nowemi dowodami. Kanclerz Kryski był wielkim dobrodziejem Bernardynów wogóle, a zwłaszcza klasztoru warszawskiego. Wdowa po nim, pani pobożna, chcąc uczcić pamięć małżonka, zaczęła budować w kościele Ś-ej Anny, obok ołtarza wielkiego, po stronie Ewangelii, nową kaplicę,

a pod nią grobowiec rodzinny dla Kryskich. Ciała — jej samej i jej męża, w tem podziemiu spoczywają. Kaplicę tę później, prawdopodobnie po wojnie szwedzkiej, poświęcono Ładysławowi. Kanclerzyna hojnemi ofiarami wspierała klasztor warszawski. Oprócz tego zapisała magistratowi toruńskiemu 30 tysięcy złotych z warunkiem, żeby cały procent od tej sumy, tysiąc pięćset złotych, był wypłacany temuż klasztorowi. Bernardyni kapitałów zbierać nie mogli, zrzekli się przeto zapisu, na rzecz wykonawców testamentu, prosząc tylko o jałmużnę.

Obok Kryskiej trzeba wspomnieć o królowej Konstancyi, która zastąpiła dla kościoła Bernardynów Annę Jagiellonkę. Małżonek jej. król Zygmunt Waza, również był klasztoru tego dobrodziejem, — przysyłał zakonnikom ryby, śledzie, suknie, sprzęt bogaty. Sami Bernardyni zaznaczają w dziejach klasztoru, że nigdy od króla z próżnemi rękoma nie odchodzili. To też kiedy królowa Konstancya umarła, oni przy zwłokach śpiewali Godzinki, dopóki ciała nie odwieziono do Krakowa, bo tak król kazał; kiedy zaś król umarł, pełnili tęż powinność przy jego znów ciele i trumnie towarzyszyli do Krakowa, bo tak nakazał nowy król, Władysław.

Sprawa kanonizacyi Ładysława i spory z Bernardynami przeciągały się. Biskup Łubieński polecił raz jeszcze otworzyć grób męża świętego i kości Jego umieścić w nowej, cynowej skrzyni. We dwa lata potem, a mianowicie w r. 1632, biskup Nowodworski rozpoczął w Warszawie nowe dochodzenia cudów i cnót Ładysława. W roku następnym ksiądz Morawski wydał żywot tego męża, książkę zaś tę zatytułował „Mistyczna latarnia doskonałości“ i ofiarował ją królowi Władysławowi IV. W r. 1635 znów oglądano kości Ładysława.

Nowe zabiegi w Rzymie, żeby Obserwantów z Reformatami połączyć, spowodowały zjazd w Warszawie w r. 1636 starszyzny zakonnej. Zjazd spełzł na niczem. Obrany wówczas prowincyałem gwardyan warszawski, Bonawentura Lutocki, klasztor Ś-ej Anny nowemi budynkami wspomógł, wymurował też groby podziemne w chórze i w wielkiej nawie. W roku następnym znów się w Warszawie zgromadziła starszyzna i ostatecznie uradzono, żeby dwa zakony rozdzielić. Wtedy to ustąpili Bernardyni część gruntu swego marszałkowi Kazanowskiemu pod pałac. Kazanowski nie płacił klasztorowi czynszu, ale obiecał łaskę swoją i jałmużny, nadto miał murem wszystkie zabudowania klasztorne otoczyć. Przyrzeczeń nie dotrzymał.

Po Lutockim następuje nowy gorliwy budowniczy, Ojciec Ludwik Zbąszynius. Ten w całym klasztorze, na piętrach dolnych, i w kościele, dał podłogę z kamienia, rzniętego w czworogran. Nieco później lektor-jubilat Gąbiniusz w refektarzu taką samą ułożył podłogę. Ojciec Ludwik zwrócił oraz uwagę na bibliotekę, znacznie uszczuploną przez

podział prowincyi. Samo uporządkowanie tej biblioteki tysiąc złotych kosztowało.

Tu nadmienimy, że cała część klasztoru, która ciągnęła się do wielkiej bramy placu, niegdyś przez kustosza Pawła Lancio zbudowanego, przeznaczono dla zakoników, zwanych *forensen*, ustąpiono już dawniej na mieszkanie nuncyuszom. Wielka stąd była niewygoda dla klasztoru, zakonnicy byli na własnym gruncie skrępowani. Otóż kiedy wyjechał nuncyusz Filonareli, Bernardyni zajęli napowrót swoją własność, którą znaleźli zupełnie zniszczoną, i komnaty nuncyuszowskie przeznaczyli dla swoich nowicyuszów. Król, w Grodnie bawiąc, r. 1643, zatwierdził uroczyście prawa klasztoru i od wszelkich postojów raz na zawsze Bernardynów uwolnił. Ale jedną ręką wyświadczając dobrodziejstwo, drugą cios całej prowincyi gotował. Jakieś intrygi sprawiły, że chciał, bez wiedzy jenerała zakonu i Rzymu, połączyć napowrót w jedną trzy prowincye Bernardynów polskich. W tym celu, zgromadziła się w Warszawie, w r. 1647, Kapituła trzech prowincyj, pod prezydencyą nuncyusza Toressa. Uradzono połączenie prowincyj, mimo usilnego oporu prowincyała wielkopolskiego. Aliści król wkrótce umarł i połączenie nie nastąpiło.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

Azya: Japonia.

Miasto Nangasaki albo Nagasaki, jest obecnie stolicą prowincyi tegoż nazwiska w Japonii; według ostatniego obliczenia ma ludności przeszło sto tysięcy mieszkańców.

Żaden europejczyk oprzeć się nie może czarownemu wrażeniu, gdy po raz pierwszy zawita w te strony. Nad portem, który ma długości 12 kilometrów, a zaledwie 4 kilometry szerokości, wznoszą się wysokie wzgórza, okryte najbogatszą roślinnością; pola uprawne, wsie i miasteczka, świątynie i pojedyńcze domy, których białe mury i dachówki świecące dziwnie odbijają, przy promieniach jaskrawego słońca. Są zapewne widoki wspanialsze, ale rzadko się zdarza równie uroczy.

W głębi tej przystani, której brzegi ścieśnione nie dopuszczają burz i wiatrów, wznoszą się w półkole pagórki, rozdzielone gdzieniegdzie głębokiemi dolinami; nad niemi góruje wspaniale *Kompira San*, najwyższy szczyt tej okolicy, tak zwany od bóstwa japońskiego; u stóp góry, nad brzegiem morza, rozłożyło się miasto.

Dzieli się ono na trzy części, jedna przez krajowców tylko zamieszkana, druga wysepka *Desima*, i *o'Ura*—przedmieście cudzoziemców.

Miasto właściwe, zamieszkane przez Japończyków, wznosi się u stóp pagórka, na zawsze uświęconego męczeńską śmiercią 26 ukrzyżowanych, których Pius IX w poczet błogosławionych policzył; rozciąga się z jednej strony aż do słynnej doliny *Urakami* i zajmuje inną jeszcze dolinę ku północy; na południe graniczy z przedmieściem Europejczyków.

Nagasaki, tak jak wszystkie miasta japońskie, jest dobrze budowane, ulice proste, szerokie, a przechodzień, mimo deszczu, nie obawia się błota, bo są wyłożone płytami kamiennemi, które przypominają miasta holenderskie; kilka mostów murowanych, to ślad dawnych z europejczykami, a zwłaszcza, portugalczykami stosunków. Zresztą, oprócz świątyń, mało ma znaczniejszych budynków; domy drewniane jednopiętrowe, pojąć więc łatwo, z jaką gwałtownością szerzą się pożary, tak częste i straszne w Japonii. Na zabezpieczenie towarów i kosztowności wymyślili tu rodzaj sklepów, szczelnie zamykanych, których ściany drewniane grubą warstwą gliny są okryte. W czasie pożarów, składają tam swe skarby, a słabe to napozór schronienie, które nazywają *kura*, wytrzymuje zazwyczaj całą gwałtowność ognia. Ale choć to miasto nie uderza nadzwyczajnością, ma wiele za to rozmaitości: tu przerznięte potokiem, który z gór spada; tam kanał, po którym łódki się przesuwają; pod cieniem stuletniego cedru wznosi się książęce mieszkanie dawnego *dajmios* [1]), gdzieindziej mniej okazałe, ale niemniej urocze mieszkanie bogatego kupca, a w maleńkim ogródku zebrane wszystkie cuda przyrody. W najwyższej części miasta świątynia Buddy, której dach olbrzymi widać zdaleka, a obok skromne mieszkanie *Kamis'a* [2]), którego wejścia strzeże lis, według dawnego zwyczaju. Wreszcie, nad miastem żywych, wznosi się na pochyłości pagórków, miasto umarłych, które podróżny zawsze z nowem zwiedza zajęciem.

Decima, jest sztuczną wysepką, którą łączy most z właściwem miastem. Przez dwa wieki była ona prawdziwem więzieniem dla kupców holenderskich, których pragnienie zysku tu zapędzało. Wstęp do miasta był całkowicie cudzoziemcom wzbroniony, a liczna straż przy bramie czuwająca, miała polecenie zatrzymania śmiałka, któryby się odważył przestąpić zakreślone granice. Raz do roku otwierała się tylko, a wtedy wolno było Holendrom, ale zawsze pod dozorem straży, wejść do miasta. Sprzedaże i kupna tylko pod okiem policyi odbywać się mogły.

Gdy statek z Europy zawijał do portu, można sobie wystawić radość tych Holendrów. Ale i tę chwilę drogo opłacać trzeba było. Le-

[1]) Książę udzielny.

[2]) Półbożek japoński.

dwie okręt kotwicę zarzucił, policya japońska brała go w swe posiadanie, i odbywała najściślejszą rewizyę. Towary przenoszono do rządowych magazynów, oznaczano ich cenę, statek pod strażą zostawał, a amunicyę przenoszono do arsenału. Listy nawet, dopiero po przeczytaniu, dostawały się do rąk właścicieli.

Świadczy o tem spółczesny Koempfer: „Otoczeni jesteśmy niezliczoną strażą różnego rodzaju, którzy pod przysięgą są obowiązani nas pilnować, jakbyśmy największymi byli zbrodniarzami. Chociaż, dodaje tenże sam autor, nie potrzebują się oni obawiać naruszenia swej wiary, bo się im z naszą wcale nie narzucamy.“

Prawdopodobnie Holendrzy więcej byliby wzbudzili dla siebie poszanowania u Japończyków, gdyby byli wierniej służyli swojemu Bogu.

Dopiero traktaty z 1854 roku i późniejsze, zakończyły te upokorzenia, a równocześnie zniosły wyłączny monopol kupiecki Holendrów. Obecnie wstęp do Decimy jest wolny, znikły straże, a prawa, które tak ściśle określały stosunek z Europejczykami, zmienione zostały. Swobodnie mieszkają na wysepce, a główny handel przeniesiony na przedmieście o'Ura. Tu widzimy na wielką skalę rozwinięty ruch kupiecki; obok wielkiego domu handlowego, małe sklepiki, a w nich tysiączne przedmioty przemysłu japońskiego; gdzieindziej stragany, z których niestety obficie płyną zabójcze trunki. Chińczycy dawniej na równi z Europejczykami niecierpiani, opanowali obecnie cały handel i szeroko się tu rozłożyli; położenie tego przedmieścia, nad samem morzem, sprzyja też bardzo handlowi. W drugiej części miasta znajdują się, wśród kwiecistych ogrodów, wspaniałe domy zbogaconych kupców, tu również mieszkają przedstawiciele rządów europejskich.

W tej części miasta wznosi się świątynia prawdziwego Boga, ku czci dwudziestu sześciu męczenników japońskich, to kolebka odradzającego się Kościoła w Japonii, dzieło poświęcenia i pracy jednego z misyonarzy. Krzyż, na szczycie tego kościoła, zdaje się protestować przeciw zniewagom, których przez dwa wieki był celem. Ta krew rozlana nie będzie daremną, choć i dziś jeszcze, pomimo tak zwanego liberalnego rządu, prześladowania nie ustają, ale miecz zaczyna już tępieć, Japonia zostanie chrześcijańską.

Protestanci mają tu też swoją świątynię, ale widok pustego kościoła bez obrazów, bez ołtarza, bez ofiary, złe robi wrażenie na chrześcijaninie krajowcu, który pociągnięty widokiem krzyża, tam się zabłąka.

Taki widok przedstawia nam zewnętrznie Nangasaki, a na zakończenie dodać tylko możemy, że klimat tu zdrowy i umiarkowany, termometr rzadko niżej zera, a w największe upały nie dochodzi do 40° C.

Jest to, mniej więcej, temperatura Rzymu lub Florencyi, wiosna i lato południowej Francyi, a zima, równie łagodna, jak w Neapolu.

Historya Nangasaki ściśle jest złączona z historyą chrześcijaństwa w Japonii. W szesnastym wieku była to zaledwie osada, gdy Sumitado, książę Omury, uderzony pięknością położenia i bezpieczeństwem portu, postanowił tu miasto założyć. Był on chrześcijaninem, a wezwawszy pomocy O. Torrez, jezuity portugalskiego, zabrał się do dzieła. Kupcy portugalscy, przewidując wielkie korzyści dla swego handlu w tej korzystnej miejscowości, chętni przyszli z pomocą. Ludność przeważnie chrześcijańska garnęła się tutaj i wkrótce liczono 30 tysięcy mieszkańców. Wystawiono kościół, którym zarządzał O. Villela.

W dziesięć lat później, podług wskazówek O. Valegnani, a z przyzwoleniem rządu, ufortyfikowali Portugalczycy miasto i port, co wobec stosunków z postronnymi książętami było rzeczą nader roztropną, a zabezpieczając miasto od napadów, przyczyniło się do jego pomyślności.

Wtenczas też prawdopodobnie, wskutek przymusowej zamiany, Nangasaki zostało odłączone od prowincyi Omura, a przyłączone do Taikuna. Pod długiem panowaniem przychylnego Pobunaga, chrześcijanie znacznie wzrośli w liczbę. Były to czasy najpomyślniejsze, po których zaczęło się srożyć prześladowanie, pod władcą Taiko.

Prześladowanie rozpoczęło się męczeństwem 26 wyznawców, którzy, za panowania Taiko, ponieśli śmierć na krzyżu. Zbiegł się lud chrześcijański z biskupem na czele, i oddawał męczennikom hołd czci i miłości; zazdroszczono im ponoszonych dla Chrystusa cierpień, które, niestety, większej części chrześcijan miały się stać udziałem.

Śmierć chwalebna Pawła Miki i towarzyszy podwoiła żarliwość neofitów. Była to łaska Boska wobec prześladowania, które się gotowało, i którego Nangasaki miało być główną widownią. Śmierć uprzedziła króla w wykonaniu swych zamiarów i położyła kres jego okrucieństwu. Chciał, umierając, zabezpieczeć panowanie małoletniemu swemu synowi, ale opiekun tegoż Jeyas potrafił tron sobie przywłaszczyć. Nowe panowanie dość spokojnie się zapowiadało; chrześaijaństwo krzewiło się z dniem każdym, tak, że w roku 1601 Nangasaki liczyło 60 tysięcy mieszkańców chrześcijan; posługi duchowne sprawowało 50 jezuitów i kilkunastu innych zakonników, ceremonie kościelne publicznie i z wielką okazałością się odbywały, seminaryum, założone przed kilku laty, kwitnęło, i tegoż roku biskup Nangasaki kilku krajowcom święceń kapłańskich udzielił.

Ale krótki to był pokój. Zaledwie Jeyas uczuł się bezpiecznym na tronie, rozpoczął tę długą erę prześladowań, które się dopiero z życiem ostatniego chrześcijanina zakończyła. Dziwne, prorocze znaki przy-

gotowały wiernych do ciosów, które na nich spaść miały. W roku 1611 i następnych, w kilku miejscowościach okolicy Nangasaki, znajdowano w drzewach krzyże czarne, zupełnie kształtne, których ręka ludzka umieścić tam nie mogła, a inne znaki nadzwyczajne potwierdzały nadnaturalne ich pochodzenie. Ścisłe badania, które odbyto, utwierdzały to mniemanie. Misyonarze i wierni zrozumieli tę wskazówkę i gotowali się do walki, a raczej na śmierć.

W końcu 1613 roku wyszedł pierwszy edykt, polecający dokładny spis ludności chrześcijańskiej. Na początku następnego roku, rozkazano zburzenie kościołów, skupienie wszystkich misyonarzy w Nangasaki, a krajowcom wyrzeczenie się wiary chrześcijańskiej.

Aby uprosić u Boga oddalenie tych krzyżów, w całej Japonii, a osobliwie w Nangasaki, rozpoczęto modlitwy, solenne procesye, pokuty publiczne. Ale zamiary Boskie są niezgłębione, wkrótce rozpoczęło się prześladowanie z okrucieństwem, przewyższającem nawet pierwsze wieki chrześcijaństwa.

Nie możemy tutaj spisać całej martyrologii Japonii. Bóg tylko zliczył te tysiące męczenników, którzy wśród najsroższych cierpień krew swą dla Chrystusa przelali. Nangasaki szczególniej doznawało ciężkiego prześladowania, nie było rynku, ulicy, domu nawet, któryby nie stał się widownią męczeństwa chrześcijan. Były miejsca, gdzie setkami ich tracono; z małej wysepki, w blizkości portu, wrzucono do morza kilkuset wyznawców i dotąd nosi ona nazwisko Papember, czyli wysepka papieżników, nadane jej, na tę pamiątkę, przez Holendrów. Na górze 26 męczenników, wielu innych za ich przykładem śmierć poniosło, a błogosławiony Karol Spinola z licznymi towarzyszami spłonął na stosie.

Pod grozą śmierci nie wolno było misyonarzowi znajdować się na ziemi japońskiej; wybrzeża ściśle były strzeżone, szpiegi rozsiane po kraju, za każdy doniesienie otrzymywali znaczne nagrody. Pomimo tego, nieustraszeni słudzy Chrystusowi, znajdowali sposoby dostania się do tych wysp. Najczęściej wprawdzie, rozpoznani przez wprawne oko niecnych siepaczy, schwytani zaraz na wstępie, ginęli męczeńską śmiercią; niektórym jednakże udało się dostać do chrześcijan, i dopiero po wielu latach apostołowania wykryci, skroń swą uwieńczyli palmą chwalebną.

W roku 1642 dnia 12 sierpnia wysiadł na brzegi japońskie ziomek nasz, potomek znakomitego rodu i zakonnik Towarzystwa Jezusowego, Wojciech Męciński, wraz z czterema towarzyszami. Uwięzieni we dwa dni po przybyciu, odstawieni zostali do Nangasaki.

Garść ryżu na pokarm, woda cuchnąca za napój, słoma zgniła i ruchoma od robactwa za pościel, obok, nad wszelki wyraz, okrutnego obchodzenia się dozorców więziennych, to ich codzienny żywot; a co

drugi lub trzeci dzień *tortury wodne*. Kaźń ta zależy na laniu do ust, leżącego na wznak i skrępowanego więźnia, wody, ile tylko pomieścić może żołądek; następnie przez gwałtowne gniecenie, wyrzucaną bywa woda napowrót wraz z krwią.

Katusze te trwały miesięcy siedem, wreszcie najwyższy trybunał skazał misyonarzy na *śmierć w jamie*.

Męczennik przywiązany zostaje do słupa za nogi, z głową spuszczoną na dół w jamę, napełnioną materyami organicznemi, będącemi w rozkładzie. Jama zakrywa się deskami, z wyciętem tylko miejscem na ciało, aby nie zarażała na zewnątrz, zabójczymi wyziewami. Jedna ręka przytwierdzona do ciała, druga wolna z przyczepionym sznurkiem do dzwonka; poruszenie tą ręką wywołuje dźwięk, który miany jest za znak odstępstwa. Setki umierały tą śmiercią w Japonii, a jedyny przytaczają przykład, w którym małoduszny misyonarz pociągnął dzwonek, by się uwolnić od męczarń; ale i ten odstępca, trawiony wyrzutami sumienia, wyznał w kilka lat potem Chrystusa, i poniósł śmierć męczeńską.

Nasz O. Męciński, zawieszony 17 marca, konał w tej okropnej męczarni całe dni siedm, i dopiero 23 marca 1643 r., oddał Bogu bohaterską swą duszę. Jeden tylko z jego towarzyszy uprzedził go do nieba; dwaj inni, do dziewiątego dnia jeszcze żyli. Wiadomość o tem daliśmy z illustracyami w poprzednich tomach naszego pisma.

Dopiero gdy ofiar zabrakło, krew lać się przestała, a wtenczas na miejscu kościołów Boga żywego, wzniosły się świątynie pogańskie, a zamiast ludności oświeconej wiarą Chrystusową, lud siedzący w cieniu śmierci.

Portugalczyków i Hiszpanów, na równi z misyonarzami, wypędzono z Japonii; posłów zagranicznych na śmierć skazano, a domy ich handlowe dotychczas tak świetne, zostały zniesione w 1640 roku. Jedni Holendrzy potrafili się utrzymać, ale kosztem niezmiernych upokorzeń. Wszystko znieśli, na wszystko przystali byle utrzymać się przy swym monopolu. Ale nie przyniosło im to tych owoców, jakich się spodziewali. Wyparli się swej wiary, stając się wspólnikami okrucieństwa Taikuna, ale nie wiele odnieśli z tego korzyści. W roku 1641 zburzono główną siedzibę ich handlu w Hirado i ograniczono ich, jak widzieliśmy na wysepce Decima.

Od r. 1854 rządy europejskie zmusiły Japończyków do otworzenia portu Nagasaki dla handlu zagranicznego; ale nie ogranicza się on teraz do tego miasta, bo współzawodniczące Jokohama i Hakodate, zmniejszyły jego znaczenie handlowe. Obecnie jest ono głównym składem sławnej porcelany japońskiej, zaopatruje herbatą Anglię i Amerykę, i prowadzi z Chinami handel cukrem, miedzią i solonemi rybami.

Korzystając z traktatów, misyonarze powrócili tu także, zbierać owoce krwawej siejby swych poprzędników.

Ślady chrześcijaństwa pozostały w Japonii: przed kilku laty odkryto kilka osad, w których przechowała się wiara; oto w jaki sposób misyonarze powzięli o tem wiadomość.

„Byłem zajęty w kościele, pisze misyonarz z Nangasaki, ubieraniem ołtarza. Wchodzi kilka niewiast japońskich, oglądają kościół i szepczą między sobą. Nie zwracałem na nie uwagi, albowiem dość często mamy gości, którzy przychodzą dla zaspokojenia swej ciekawości. Po niejakim czasie zbliżają się do mnie i jedna z nich pyta:

— Czy jesteś kapłanem?

— Tak jest.

— Czy masz żonę?

— Nie, kapłani katoliccy nie mają żon.

— Jak się nazywa wasz najwyższy kapłan?

— Papież.

— A miasto, gdzie mieszka, jak się nazywa?

— Rzym.

— A jak się nazywa ta Pani, której ty ołtarz przystrajasz?

— Marya.

Już w ciągu tych pytań widziałem, że moje, jakkolwiek lakoniczne odpowiedzi, coraz większe sprawiały wrażenie na słuchających; ale po ostatniej odpowiedzi, wszystkie naraz niewiasty zawołały:

— To oni! tak, to oni!

Padają na kolana, czynią znak krzyża na sobie, i mówią:

— I my tej samej wiary, co i wy. Starzy nasi ojcowie czekali na was, i nas nauczyli, po jakich znakach mamy was rozpoznać.

Tak więc w przeciągu dwuwiekowego przeszło ucisku, bez żadnej skądkolwiek pomocy i wskazówki, dzieci te świętego Franciszka Ksawerego przechowały wiarę, żyły i umierały jako chrześcijanie.

Nangasaki jest obecnie rezydencyą wikaryusza Apostolskiego i ogniskiem życia katolickiego w Japonii.

Afryka: Kongo.

Przytaczamy z listu O. Kollera, misyonarza w Kongo, wyjątki nader ciekawe, jak w tej odległej krainie afrykańskiej obchodzą tamtejsi chrześcijanie, tak drogie sercu każdego wiernego, święta Bożego Narodzenia.

Właśnie dopiero co skończyliśmy naszą „Pasterkę“. Chwila to zaiste, której każdy misyonarz, żyjący śród pogan, nieznających kolebki

Chrystusowej, przenosi się myślą do Europy i wspomina sobie na wspaniałe uroczystości i uniesienia żywej radości, z jakiemi tam we wszystkich krajach katolickich obchodzą pamiątkę Narodzenia Zbawiciela świata. Jedno wtedy uczucie porusza serce jego: uczucie boleści i gorącego pragnienia, aby słońce wiary biednym poganom jak najrychlej zabłysło i aby idąc za jego światłością, wszyscy doszli do kolebki Chrystusa.

Chcecie zapewne mieć wyobrażenie, jak tę najpiękniejszą z tajemnic wiary naszej święcą tu w Afryce. Posłuchajcie...

O dwie i pół godziny drogi na południe od rzeki Kongo, leży osada misyjna świętego Antoniego. Jest to mała wioska, licząca zaledwie kilkadziesiąt chat, rozłożonych na niewielkiem wzgórzu i tworzących prostokątny czworobok. Chaty te są zbudowane, podobnie jak wszystkie domki w okolicy, z drzewa bambusowego, a pokryte liściem palmowem. Mały drewniany krzyżyk, zatknięty na najdłuższym, słomą pokrytym dachu, oznajmia, że prawdziwy Bóg obrał sobie to ubogie, zaciszne ustronie na miejsce swego przybytku. Biała chorągiew z czerwonym krzyżem, wywieszona na kaplicy, to znak dla murzynów, że w tym domu świętem obchodzi się nabożeństwem uroczystość na cześć najwyższego Pana; jest to właśnie uroczystość Bożego Narodzenia.

Jakżeż tu u nas inaczej, niż w Europie, przedstawia się „wigilia!“ Tam w najmniejszej, w najuboższej wiosce wszystko w ruchu przedświątecznym, aby się godnie przygotować na święto przyjścia Zbawiciela na świat; tam wigilijny wieczór obchodzą wesoło, radośnie, łącząc z obrzędami religijnemi tradycyą uświęcone zwyczaje; tam twarze wszystkich wiernych jaśnieją słodką, czystą pogodą; tam serca wszystkich ludzi dobrej woli pełne tego pokoju, który słodkością przewyższa wszelkie inne dary nieba, tam pełne tęsknoty wyczekiwania niewinnych dziatek i zachwyty ich radości na widok szopki, Bożego drzewka i gwiazdki, a tutaj?... Miliony nieszczęśliwych murzynów pogrążonych w straszliwych zdrożnościach, ludzi nie domyślających się nawet, że i dla nich słońce zbawienia weszło, że i dla nich Zbawiciel się narodził!

W malutkiej osadzie chrześcijańskiej świętego Antoniego, gdzie mieszka dwóch księży i jeden braciszek zakonny (a są to jedyni biali w obrębie kilku mil), było także, jak i u Was, wszystko ożywione ruchem przedświątecznym, aby jak najgodniej przygotować się na przyjęcie Boskiego Dzieciątka.

Dwudziestu pięciu młodych, dzielnych murzynków, naszych ukochanych wychowanków, plotło wieńce, znosiło najrozmaitsze kwiaty i krzewy afrykańskie lub wspólnie z nami przystrajało ołtarz i szopkę i przyozdabiało całą kaplicę, jak można najpiękniej. Wszystkie ozdoby przesłane nam przez wspaniałomyślne dusze z Europy, znalazły tu swoje

umieszczenie, aby z największą, na jaką tylko ubodzy zdobyć się mogą, zewnętrzną nawet świetnością, obchodzić zasadnicze święto wiary i podnieść je w oczach pogan. Już to najbardziej zachwycały oczy naszych małych murzynków, piękne, strojne figurki, przedstawiające w szopce tajemnicę Narodzenia. Lecz nie zapomnieliśmy także o duchownym kościele Pana naszego... Wszyscy ochrzczeni przystąpili z wielką skruchą i przejęciem do Sakramentu świętej Pokuty, aby z oczyszczonych serc swych uczynić Dzieciątku Jezus miły żłobek w Komunii świętej, którą podczas „Pasterki“ przyjęli.

Pamiętaliśmy także o kolendzie dla naszych poczciwych dzieci; rozdaliśmy im po małym obrazku i po małej przepasce, stanowiącej dotychczas jeszcze jedyne ich ubranie... Gwiazdka to uboga, ale im sprawiła niesłychaną radość, bo one nie znają tych zbytków, któremi rodzice w Europie obsypują swoje dzieci, chociaż niekiedy z ich szkodą.

Kto z Europejczyków przepędza Boże Narodzenie w Afryce, ten musi sobie istotnie gwałt zadawać, aby się nastroić do usposobienia z tą uroczystością zgodnego; tam ziemia okryta białym całunem, drzewa z liści obrane, oprószone śniegiem, rzeki pokryte lodem, termometr poniżej zera;—tu ziemia rozpalona, niebo czyste, jasne, błękitne, słońce wspaniałe i rzadko kiedy przy złym humorze—słowem, upały straszne. Gdy noc wigilijna zapadła, rozłożono na różnych miejscach rozległej równiny ognie; błonia zaczęły się roić od tłumów ludzi czarnych, jak kruki. Przypatruję się im; to poganie...

Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy współubiegając się o pierwszeństwo w hałasowaniu i przeraźliwem śpiewaniu, przy dzikim odgłosie *tam-tamów*, urządzali swe dziwaczne tańce około ogni. Ale nie myślcie, że tą niezwykłą, krzykliwą zabawą wielbili Zbawiciela świata w tajemnicy Wcielenia; że mnóstwo tych świateł gorzało na chwałę Boskiego Dzieciątka.

Około ogni poustawiali dziwolągi, stare, pomalowane rogi, na proch porozbijane garnki, brudne szmaty na kijach od robactwa stoczonych: to są fetysze, ich bożki, około których nieszczęśliwi poganie swe hałaśliwe orgie wyprawiali. Bo oto przez siedem miesięcy ani jednej kropli deszczu tu nie było.

Głód ich trapi, a do żniwa jeszcze daleko. Zdala usłyszeli grzmoty i zobaczyli błyskawicę; otóż śpiewają i wrzeszczą i przeraźliwie wyją, bo to jest ich modlitwa do bożków, aby ściągnęli chmury na ich niebo i spuścili z nich deszcz obfity.

Około północy dopiero wygasili ognie i pomęczeni rozeszli się spokojnie do swych domów.

Wtedy nasi dzielni chłopcy dali ognia z karabinów na znak, że „Pasterka“ wkrótce ma się rozpocząć; równocześnie odezwały się dzwo-

ny pobożnym dźwiękiem i rozbrzmiewając po dzikiej pustyni, zwiastowały jej mieszkańcom radosną nowinę, iż przyszedł na świat Zbawiciel i wzywały ludek Boży do świątyni, aby mu oddał cześć i pokłon winny.

Spora gromadka murzynów zebrała się na „Pasterkę" już kilka godzin przedtem, a między nimi widzieliśmy z radością i ich naczelnika. Władca ten bowiem był dotychczas nieprzyjacielem Boga i naszym; kilka miesięcy temu kazał przez kapłana pogańskiego rodzonej swej siostrze, oskarżonej przed nim o pożarcie duszy nieboszczyka brata swego, wypić czarę silnej trucizny. Serce jego, zmrożone i znikczemnione przez tę zbrodnię, stroniło dotychczas od prawdy. Oby łaska Boża w tym świętym czasie wymownie przemówiła do duszy jego i napełniła ją swą światłością!

„Pasterkę" odprawiliśmy z taką świetnością, na jaką tylko zdobyć się było można, aby godnie uczcić urodziny Pana naszego i uprosić sobie u niego błogosławieństwo dla prac apostolskich. Jeden z nas celebrował solenną mszę świętą, drugi zaś grał na harmonium i śpiewał razem z małymi murzynami.

Śpiew ten, wykonany z życiem i zapałem religijnym, bardzo miłe robił wrażenie.

Dnia następnego osada nasza roiła się od murzynów pogan, wracających z „deszczowego palawaru"—to jest z walnego zgromadzenia, odbytego niedaleko od nas w celu odszukania złoczyńcy, którego zbrodnie mają być przyczyną strasznej posuchy. Dotychczas sprawca tego nieszczęścia szczęśliwie ukrywa się przed nimi. Zaprosiliśmy ich do naszej kaplicy. Jakby nadziemską jakąś siłą uderzony, upadł ten dziki motłoch na kolana i zachowywał się bardzo przyzwoicie. Najwięcej zachwytu wywołała figura przedstawiająca w szopce króla murzyńskiego.

— (Król murzynów) *Nkuluntu fiote*!—powtarzał każdy do swego sąsiada. Była to dla nich największa pociecha, jaką im tylko sprawić było można.

Daleko świetniej jeszcze obchodziliśmy Boże Narodzenie w naszej misyi w Landanie... Kilka dni przedtem zatrzymał się o jedną godzinę drogi od nas francuski okręt wojenny, gdyż kapitan jego z swoimi podwładnymi, gorliwi katolicy, nie chcieli urodzin Zbawiciela swego obchodzić wśród armat i gwaru, lecz w świątyni i w katolickiej osadzie. Za przyjacielską gościnność im ofiarowaną, stał nam otworem ich dobrze zaopatrzony magazyn, a zmiana ta była bardzo na czasie, gdyż z powodu długiej posuchy zapasy naszej spiżarni były prawie wyczerpane.

Chyba nie potrzebuję Wam nadmieniać, że nasze ukochane czarne dzieci, pod kierownictwem braciszka zakonnego, zamieniły kaplicę w istny malowniczy ogród. Z zapałem wycinali najpiękniejsze młode drzewka, aby jak najwspanialej przystroić niemi dom Boży. Trochę przed północą zgromadziło się 130 chłopców w pewnej odległości od kaplicy;

każdy z nich trzymał w ręku pochodnię własnego wyrobu albo lampion z kolorowego papieru. Prawdziwie czarujący przedstawiał się oczom widok, kiedy ci młodzi murzyni, wśród ciemnej nocy, z płonącemi pochodniami, szli parami w największym porządku i poważnym krokiem a z zapałem kolendując, maszerowali do kościoła. Oficerowie marynarki nie mogli się dość nacieszyć tym wspaniałym i świetnie wykonanym pochodem młodych, czarnych żołnierzy Chrystusowych i wyrażali swoje zdumienie i żywą radość ciągle powtarzanemi pochwałami:

— Prześlicznie!... Prawdziwie wspaniale!... Z czemś podobnem niełatwo w Afryce się spotkać..

Daleko żywszą jeszcze i rzewniejszą radością przejmował serce szczerze katolickie widok, gdy zacny, wielu orderami ozdobiony kapitan i cała służba okrętowa, wśród czarnych dzieci u Stołu Pańskiego klęczeli i z wielkiem nabożeństwem Boga do serca swego przyjmowali

Ale w tym dniu wielkiego wesela dał nam Pan Bóg skosztować i smutku.

O pół godziny drogi od naszej osady, zaczęto raz po raz strzelać.

Nie były to salwy na cześć Dzieciątka Betleemskiego, „światłości, co w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły“.

Naczelnik sąsiedniej wsi zapadł przed kilkoma dniami w niebezpieczną chorobę. Zaledwie mój towarzysz dowiedział się o tem, udał się niezwłocznie do niego, spodziewając się, że w chwili śmierci pozyska jego duszę.

Ale kapłani pogańscy, obłożywszy chorego bałwanami, pilnowali go natrętnie i nie pozwolili wydrzeć sobie biednej ofiary. — Nieszczęśliwy umarł w sam dzień Bożego Narodzenia i właśnie wystrzałami oznajmiono śmierć jego.

Na ten znak schodzą się krewni, przyjaciele i mieszkańcy całej wsi na obchód pośmiertny. Każdy, kto przyjdzie, jest zobowiązany jak można najgłośniej płakać i z całego gardła rozwodzić żałobne narzekania po nieboszczyku. A rolę dobrowolnych płaczków doskonale odgrywają. To wyją, jakby ich rozdzierano, to miotają straszne przekleństwa na złych duchów, to znowu narzekają na zmienność losów człowieka, a każdy stara się dosadniej i gwałtowniej wyrazić swoją boleść, niż jego sąsiad. Naturalnie, że wino palmowe i wódka, to jedyne u nich lekarstwo na cierpienia; w nadmiarze więc takich żałobnych boleści zaglądają raz po raz do flaszki.

A gdy nadużyją tych gorących napojów, wtedy już łzom niema końca, a zgiełk powstaje tak przeraźliwy i przenikliwy, że wyobrazić go sobie niepodobna.

Nareszcie urządzają gwałtowny taniec około chaty nieboszczyka, przyczem społem żałośnie śpiewając, wysławiają jego bohaterskie czyny,

podróże, przygody myśliwskie, szczęście, cnoty i występki. Ci zaś, którzy są wewnątrz chaty i przy trupie, odpowiadają im chórem:

— O, mój ojcze, on nie żyje! O, moja matko, któż to jego zabił?

Podczas tego żałobnego śpiewu stroją nieboszczyka i golą mu głowę, obcinają mu paznogcie u rąk i u nóg, polewają go wrzącą wodą i zdzierają mu skórę z głowy i ramion, nakadzają go węglami i tak owiniętego w płótno, wystawiają na widok publiczny wraz ze wszystkiemi bogactwami, jakie za życia posiadał, a więc z rozbitemi flaszkami, podartemi obrazami i staremi łachmanami.

Po kilku dniach odbywa się pierwszy pogrzeb ciała, znowu wśród obowiązkowych przeraźliwych hałasów, szlochów, tańców i strzelania. Paznogcie i włosy nieboszczyka muszą czekać przez kilka lat na swój pogrzeb, ale za to odbywa się on z jak największą świetnością i przy udziale niezliczonych tłumów.

W dniu umówionym po pierwszym pogrzebie zebrali się kapłani pogańscy i sławni czarownicy, aby odegrać swoją okropną rolę.

Według przesądu murzynów, nikt nie umiera naturalną śmiercią. Każdy, kto z tego świata schodzi, jest ofiarą ukrytego jakiegoś nieprzyjaciela, zostającego w blizkich stosunkach z szatanem — „ten to pożarł jego duszę“.

Z pod wpływów tego niedorzecznego przesądu nie można murzynów wyzwolić. Oni muszą nieboszczyka nietylko opłakać, lecz także pomścić jego śmierć.

Przybyli więc kapłani i czarownicy z odległych okolic na wspólną naradę, celem odkrycia tego zbrodniarza, który odważył się zaspokoić swój apetyt duszą samego naczelnika. Podali dziewięciu murzynów i jedną murzynkę, jako podejrzanych sprawców tej strasznej zbrodni, gdyż duszy naczelnika nie może, jak tylko większa ilość złoczyńców, dać rady.

Podana murzynka była jedną z żon nieboszczyka.

Dwom posądzonym udało się żywo ujść z tej napaści; uciekli oni do Loango, gdzie wśród załogi francuskiej znaleźli bezpieczne schronienie; inni będą musieli życiem przypłacić to śmieszne oskarżenie.

— Żal nam było tych nieszczęśliwych bardzo; zrobiliśmy wszystko, co tylko było w naszej mocy, aby ich obronić. Udawaliśmy się do starszyzny, piastującej tu władzę, lecz nasze przedstawienia nie pokonały szatańskich wpływów pogańskich kapłanów. Zażądaliśmy więc od Portugalczyków, pod których opieką zostaje nasze terytoryum, aby przemocą wydarli opryszkom te nieszczęśliwe ofiary, lecz i oni nie uznali za przezorne, by bronić życia ofiar. Ratunku dla nich nie było żadnego, krwawy więc proces się rozpoczął.

Kapłan pogański sporządza w takich razach truciznę, zwaną *casque*, która ma dowieść winy lub niewinności oskarżonej ofiary.

Jeżeli oskarżony truciznę zaraz po wypiciu odda, wypuszczą go jako niewinnego na wolność; jeżeli zaś trucizna zatrzymana zaczyna działać, skazują go — jako winnego — na męczarnie i śmierć.

Wybiła nareszcie ostatnia godzina życia dla naszych nieszczęśliwych więźniów. Kilka tysięcy osób różnego stanu, płci i wieku, na-



Kongo. — O. Koller, misyonarz, pośród murzynów — wychowańców swoich.

pełniło plac przed więzieniem; wszystko wrzało jak w ulu daleko w noc, bo tylko późno w nocy spełniają te mordercze czyny. Nareszcie krwiożerczy oprawcy wyprowadzili przy świetle zapalonego łuczywa skazańców, a z okrzykiem radości zabrana tłuszcza przyklaskiwała ich ciężkiemu i bolesnemu położeniu. Z największą wrzawą, przy odgłosie *tamtamów*, wśród zniewag, pogardy i szyderstw, przyprowadzono ich na miejsce stracenia. Tu pierwszy wypija truciznę; nie oddaje jej, bladnie-

je, zatacza się, a więc winien jest zbrodni. Oprawcy z okrutnem barbarzyństwem natychmiast odcinają mu ręce; nieszczęśliwy upada i wijąc się wśród okropnych boleści, prosi o ulgę i zlitowanie. Na widok takich mąk choćby największego zbrodniarza, budzi się wszystko, co jest czułego w człowieku: ale to uczucie wygasło i wymarzło w sercach pogan. Zakłuć ostremi nożami swą ofiarę, jak wieprza: oto ich współczucie, litość i ulga dla niej. Taką samą śmiercią ukarano i żonę nieboszczyka. Z daleko okrutniejszem barbarzyństwem pastwiono się nad sześcioma pozostałymi. Przybitych w okrutny sposób gwoździami na drzewach, kłuli z szatańską nienawiścią i radością nożami, aby ich powolnemi i ciężkiemi cierpieniami, do reszty nasycić żądzę swojej zemsty za pożarcie duszy naczelnika.

Ciała pomordowanych spalili na stosie.

Podczas tej całej krwawej sceny, tańczyli, śpiewali, hałasowali i bili w *tam-tamy* ile sił starczyło, a dopełniając zemsty, spalili im domy i całą ich majętność.

O, kiedyż w miłości bliźniego zaczną obchodzić Boże Narodzenie miliony murzynów, pogrążonych w cieniach nocy pogaństwa!... O, jakże inaczej obchodzą to wielkie święto ci, którzy wierzą w Boskie Dzieciątko Jezus!...

(D. c. n.)



Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy“

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

SCENA XXIV.

Ciż, Pudens i Felicyta.

Pudens (do Felicyty przy wejściu.)

Wnijdź! dziś wam wszystkim równa jest swoboda.

Felicyta (do Satura.)

Ojcze mój!

Satur.

Córko!

Felicyta.

O, teraz mi trzeba
Rad słowa twego! — ona mi sił doda.
Bo dusza moja wzburzona, jak woda,
W której się nawet mąci obraz nieba.

Satur.

Córko! pewniejsze udzielę ci leki.
Zostań tu z nami: — nim ze wschodem ranka,
Jako Izrael pójdziem w kraj daleki,
Kraj obiecany osiągnąć na wieki,
Pokrzepmy duszę ucztą krwi Baranka.

(do Pudensa.)

Gdzie są przaśniki i wino?

Pudens (wskazując na dyakonów.)

Oddałem.

(W czasie następujących słów Satura, dyakonowie ustawiają stół, zaścielają białe pokrycie, kładą chleb i stawiają wino w puharze.)

Satur.

O, bracia moi! godzina się zbliża
Strasznej, ostatniej walki ducha z ciałem,
Godzina próby i ofiary krzyża.
Módlmyż się, bracia! niech nas ani licha
Trwoga, ni zapał w pychę nie unasza:
By męki Pańskiej świętego kielicha
Nikt z nas nie dotknął ustami Judasza.
Gdzież jest śmiertelny, coby się nie trwożył
Oblicza śmierci? — ten tylko, który
Wyzuł się z siebie, a w Nim ufność złożył,
W kim umarł Adam, a Zbawiciel ożył,
Ten chyba zdoła przemódz strach natury.
Bo śmierć dlań będzie jak noc, co gdy zaćmi
Ziemię, gwiaździsty blask Niebios odkrywa;
Bo on czuć będzie, rozstając się z braćmi,
Że go tam Ojciec na swe łono wzywa.
I oko jego, patrząc po za sobą
Na tych, co kocha i rzuca na ziemi,
Zamiast ich tylko czernić się żałobą,

Wzrok Opatrzności dostrzeże nad niemi.
O, i duch jego, gdy stanie przed Bogiem,
Zaliż myślicie, że Bóg nie dozwoli
Czuwać mu nad tem, co w Bogu miał drogiem?
Lub że stanąwszy za wieczności progiem,
Sam stał się obcym swych kochanych doli? —
Nie! bracia moi! — Pogan to ślepota
Oku ich serca świat Ducha zaciemia;
Rozum ich przeczy, pycha się nań miota.
Lecz komu Wiara, jako jasność złota,
Przyświeca z Nieba: ten go zna. —
Jak ziemia,
Tajemną mocą sił swoich i ruchów,
Krąży śród światów, co koło niej krążą,
Tak niewidomem pośrednictwem duchów
Dusze się ludzkie z Duchem-Bogiem wiążą.
I cała przestrzeń od Nieba do ziemi
Jest jak drabina w widzeniu Jakuba,
Po której duchy, rzędy dwoistemi,
Wchodzą i schodzą: ci z prośby ludzkiemi,
Ci z darem Bożych łask. I od Cheruba,
Do ducha matki, co jeszcze przykuty
Żalem do ziemi, czuwa nad sieroty:
Oni to każdą łzę szczerej pokuty,
Każdy czyn dobry, z miłości i cnoty,
Każdą zasługę, lub ofiarę z siebie,
Niosą przed Pana: — przed którym na Niebie,
Sprawiedliwości i Łaski naczynie,
Krwią Zbawcy wiecznie po brzeg dopełnione,
Ile w nie odtąd ludzkich zasług wpłynie,
Tyle łask wzajem, jak błogosławione
Rosy niebieskie, rozlewa na ziemię.
Aż przyjdzie chwila, że ich Boska dzielność,
Pierworodnego grzechu skazitelność
Obmyje całkiem; i znów ludzkie plemię
Będzie, czem było w pierwszym Stwórcy tworze,
I na świat wróci Raj — Królestwo Boże,
I wszystko będzie — Bóg i Nieśmiertelność.

Chrześcijanie.

Amen!

(Satur idzie w głąb gmachu i staje za stołem. Obok niego po prawej stronie Felicyta, po lewej Perpetua. Reszta chrześcijan, podzielona na dwa grona, staje po obu rogach stołu: z jednej strony na czele Deodadus, z drugiej Artaxiusz.)

CHÓR CHRZEŚCIJAN.

MODLITWA PAŃSKA.

Chór cały.

Boże! chwalimy Ciebie!
Ojcze nasz, któryś jest w Niebie,
W niezrównanej, w niepojętej
Chwale Twojej — Święty, Święty,
Święty!

Jedna część chóru.

Święć się Twoje Imię!
Święć się w Trójcy, w Cherubinie,
Święć w Anielskich Mocach, Tronach,
Święć w zastępach, milionach
Duchów czystych: i w nas, Panie!
Nim przed Tobą duch nasz stanie,
Cześć Ci w sercu, w myśli, w chęci,
I w ich czynach niech się święci
Imię Twoje! aż w Niem stanie
Ducha Twego panowanie.

Druga część chóru.

Przyjdź Królestwo Twoje, Panie!
Przyjdź światłością Objawienia,
By świat pojął cel stworzenia;
Przyjdź zakonem jednej wiary,
By się w jedność zlał ofiary.
Tchnij na kraje, na narody,
Duch Miłości, pokój Zgody;
Hamuj ludy, przejmij Króli
Czcią Pokory: by poczuli,
Nie w przemocy, nie w swawoli,
Lecz w Twej Mocy, i w Twej Woli,
Nędz swych równość, łask Twych wspólność.
I prawdziwą ducha wolność
W posłuszeństwie Tobie, Panie:

Chór pierwszy.

Wola Twoja niech się stanie,
Jako w Niebie, tak na ziemi!
Lecz miej litość nad słabemi.
Duch jest chętny, lecz mdłe ciało
Wolę ducha skrępowało.
Duch posłuszny Twemu Słowu,
Wzrok ku Tobie wzniósł z okowu,
Chce — lecz, by się wznieść do Nieba,
Ach! on czuje, że mu trzeba
Siły Bóstwa...

Chór drugi.

Twego chleba,
Duchownego, Niebieskiego,
Panie! Krwi i Ciała Twego,
Daj nam dzisiaj — jak dał za nas!
Chleb powszedni już nie dla nas.
Darz nim, Stwórco, Twoją ziemię,
Darz nim, Ojcze, ludzkie plemię;
Nas już tylko posil, Panie!
Na śmierć i na zmartwychwstanie,
W Synu Bożym ludzkie syny.

Chór pierwszy.

I odpuść nam nasze winy,
Jako i my odpuszczamy
Tym, przez które cierpieć mamy!
Jako szczerze prosim za nie:
Prześladowcom odpuść, Panie!
A niech naszej ból ofiary
Da im pojąć moc Twej wiary,
Da pokochać poświęcenie.

Chór drugi.

A nie wódź nas w pokuszenie!
Gdy miecz, gdy zwierz, gdy płomienie,
Gdy boleści mąk tortury
Przejdą miarę sił natury,

A kusząca ludzka trwoga
Ćmić w nas będzie bojaźń Boga:
W on czas, w on czas niech doznajem,
Że my dla Cię, Ty w nas wzajem
Cierpisz za nas, jak my w Tobie.
Bo nie zostaw samym sobie,
Ufnych tylko w Ducha Twego.

Chór cały.

Ale nas zbaw ode złego!
Od upadku serca mdłego,
Od zwątpienia, od zgorszenia,
Od wyroku potępienia.
Gdy na strasznym świata sądzie,
W blasku gromów Pan zasiędzie:
Gdy zdać liczbę z czynów ziemi,
Żywi staną z umarłymi,
A zalękły, patrząc w Sędzię,
Grzech sam na się świadczyć będzie:
Panie! Panie! któż nie strwoży?
W kim swą ufność grzesznik złoży,
Gdy Bóg grozi, duch wymiata
Grzechy ciału, a zatrata
Nocy piekieł paszcz otworzy?...

Asper (podnosząc chieb i wino.)

Oto Baranek Boży,
Który gładzi grzechy świata!

(Chrześcijanie oprócz Satura rzucają się na kolana.)

(D. c. n.)





Kompania z parafii Ostrowce, dyecezyi Kieleckiej, pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

Sławni dostojnicy Kościoła.

Samuel Maciejowski, o którym z kolei opowiemy, również ze szlacheckiego pochodził gniazda, pieczętował się herbem Ciołek. Ojciec jego, Bernard, kasztelan lubelski dobrze krajowi się zasłużył. Opowiada Stanisław Orzechowski, iż znał Bernarda Maciejowskiego, nadto, że ten nadmieniał mu, z jakiego powodu dał synowi swemu imię Samuela. Otóż razu pewnego przyśniło się kasztelanowi w drodze, iż syn jego, którego się spodziewał, takie imię nosić będzie. Obudziwszy się, pchnął czemprędzej posłańca do żony z tą wiadomością. Kasztelanowa właśnie tylko co powiła syna, któremu też dano imię wyśnione przez ojca.

Urodził się tedy Samuel w województwie lubelskiem r. 1464. Rodzice czuwali nad nim troskliwie. Gdy skończył szkoły w kraju, polecili go Tomickiemu, już podówczas biskupowi krakowskiemu, który powziąwszy o młodzieńcu wielkie nadzieje, na dalsze nauki do akademii w Padwie go wyprawił. Tam Samuel pod sławnym retorem Romulem Amazeuszem w krasomówstwie się ćwiczył, a pod innymi znakomitymi mistrzami zgłębiał filozofię. Wróciwszy do kraju, idąc za radą i przy pomocy Tomickiego, na dwór króla Zygmunta Starego się dostał. Ponieważ niepospolite okazywał zdolności, powierzono mu godność wielkiego sekretarza. Z kolei dziekanem krakowskim, biskupem chełmskim i podkanclerzym koronnym został. Oprócz tego, chociaż sprzeciwiało się to prawu — na sejmie jednomyślnie wielką pieczęć mu przyznano. Wreszcie po śmierci biskupa Gamrata, król Zygmunt na biskupstwo krakowskie go powołał.

Orzechowski nazywa Maciejowskiego godnym naśladowania, zarówno w życiu publicznem, jak i prywatnem, wzorem. Świętobliwością między biskupami, wymową między kanclerzami w swoim czasie przodował. Życie skromne, spokojne, cnotliwe prowadził, przyozdabiał je uprzejmemi, gładkiemi obyczajami; nie grzeszył nigdy wielomówstwem, daleki był od popędliwości, gniewu, surowości nawet unikał. Cierpli-

wością pokonywał pociski zazdrości, nigdy jej mściwie nie prześladując; owszem tak łagodnie pokrywał doznane urazy, iż z tymi, którzy mu je wyrządzali, po przyjacielsku się obchodził. Moc i siła rozumu jego, jak również cnota niezłomna, osobliwie przy okoliczności nienawistnego dla magnatów małżeństwa króla Zygmunta Augusta (syna Zygmunta Starego) z Barbarą Radziwiłłówną, się okazała. Obwiniano go, że małżeństwo wspomniane królowi doradzał, aż Zygmunt August sam go w tej mierze usprawiedliwiać musiał. Wiedział Maciejowski o zawistnikach, którzy sławę jego szarpali, lecz im nie odpłacał niechęcią. W mowach sejmowych powagi, w sądach sprawiedliwości przestrzegał. Cudzym słabościom folgował. Stankara, zuchwale rozsiewającego zarazę kacerstwa, kazał pojmać i mimo dawanej przez możnego Mikołaja Oleśnickiego opieki, uwięzić w zamku lipowieckim. Żaden z kanclerzów polskich nie dorównał mu ani rozwagą, ani wymową. W mowie łacińskiej tak celował, że kardynał Hieronim Giuntim, czuwający w Rzymie nad pieczęcią papieską, mąż niezwykle uczony, głośno mówił, że znikąd lepszą łaciną pisanych listów, jak od króla polskiego, nie odbierał. A listy te pisywał Maciejowski.

Łaski, jaką go obdarzali Zygmunt Stary i Zygmunt August, ani też dostojeństwa swego, Maciejowski nigdy nie użył w interesie osobistym. Dwóch przemożnych naówczas mężów: Jana Tarnowskiego kasztelana i Jana Kmitę wojewodę krakowskiego, nienawistnych sobie, pogodzić się starał. Wprawdzie celu nie dopiął, ale przynajmniej ich zapędy gwałtowne wstrzymywał. Gdy mu zdrowie nie pozwoliło pełnić obowiązków kanclerza, pieczęć w ręce króla złożył.

Podczas sejmu w Piotrkowie, r. 1550, chorzeć zaczął. Wróciwszy do Krakowa, życia dokonał, licząc 52 lata. Pochowano go w kaplicy, którą sam dla siebie gotować zaczął. Budowę dokończył Andrzej Przesławski, kanonik krakowski.

Łukasz Górnicki prześlicznie opisuje sposób życia Maciejowskiego. Oto słowa jego:

„Tuż u Krakowa jest rzeczka Prądnik, nad którą Samuel Maciejowski, biskup krakowski i kanclerz koronny, włoskim kształtem dom piękny zmurować kazał, jako dla wielu innych dobrych przyczyn, tak też dlatego, aby w tak osobnym kraju, jaki jest około Krakowa, miał miejsce, gdzieby postronnych ludzi i wielkich posłów króli czcić mógł. Albowiem mając on na sobie wielkie sprawy, dla których w jego domu, u wszystkich gmachów, drzwi zawżdy otworem stały, snadniej mógł na stronie, niż w mieście, uczynić temu dosyć. A w tem nie szukał ani rozkoszy żadnej, ani swojej własnej chluby, którą się przyrodzenie jego brzydziło, ale pomniąc się być mało nie pierwszym senatorem w Polsce, pomniąc się być urzędnikiem koronnym, ustawicznie to myślał,

skądby król jegomość cześć a naród polski sławę u postronnych miał ludzi; które chwalebne jego staranie, iżby tem łatwiej szło ku zamierzonemu kresu. Natura macochą jemu nie była, ale taką matką, iż co sobie człowiek od niej żądać może, to wszystko jemu była dała hojną ręką. Miał urodę prawdziwie pańską, twarz wdzięczną, z której niceś innego sądzić nie mógł, jedno szczyry umysł a dobre serce, rozum ostry, nauki wiele, biegłości w rzeczach, dzielności w sprawach dosyć, czem wszystkiem dobrze szafować umiał, bo w szczęściu nadętości, a w nieszczęściu upadłej myśli nie było.

A co najbardziej w człowieku chwalą, tak dzierżał na wodzy swe żądze, iż ani łakomstwa w nabywaniu, ani pustoty w dostatku, ani okrucieństwa we władzy, ani bezbożności na urzędzie, ani bezeceństwa w życiu, ani żadnej szkaradnej wady w nim znać ani słychać było. Więc ludzkość a senatorska powaga mądrze były złożone i usadzone, że rozeznać żaden nie mógł, co czemu panowało. Owo był prawym panem nie stąd, iż miał wiele, ale przeto, że *sobie* mógł i umiał rozkazywać. Ten tedy taki biskup, Sokrates (wielki mędrzec) drugi, miał zawżdy około siebie zacnych, uczonych i dzielnych ludzi, na co kosztu ani starania nie żałował, garnął takich ku sobie i wielkiemi nagrodami wzywał, tak, iż dwór jego był jedną osobną szkołą rycerskich ludzi, z którymi żył nie jako pan ze sługami, ale jako ojciec z syny, mając z tego wielką rozkosz, iż kto lata swe najlepsze u niego strawić chciał.

A iż ustawicznie mieszkał u dworu, cisnął się do tego celniejszy z dworzan każdy, aby był w domu księdza Maciejowskiego nie gościem, gdzie i było zawżdy czego słuchać, i miał możność pokazać człowiek to, co umiał, w gromadzie onych osobnych ludzi, jakich tam pełno było, którzy wszyscy na pana swego patrząc i dziwując się w nim tym tak wielkim Bożym darom, uczciwości, miary dobroci, wstydu, świętobliwości, wzór z niego jednego ustawicznie brali. I ktokolwiek jakiej jego cnoty choć z daleka naśladować mógł, ten abo wielkim człowiekiem urósł, abo w dziwnej miłości ludzkiej umarł. Przeto i on Przerębski (który z domu Maciejowskiego na mniejszą pieczęć, potem na biskupstwo chełmskie, z tego na arcybiskupstwo z wielką swą czcią i sławą wstąpił) był tak wdzięcznym u ludzi, iż ku wrodzonej cnocie swej, ku rozumowi, ku czujności, ku sprawie, która w nim wielka była, i ku innym dobrym przymiotom, przyłączył był niektóre pana swego obyczaje. I gdyby był żył do tych czasów, pewnie mógłby miłością tą, jaką miał dla Rzeczypospolitej, podeprzeć nieco te rzeczy, które znacznie a widomie do ziemi lecą. Jeszcze powiem, że znikąd tak wiele, jak z domu księdza Maciejowskiego, nie wyszło ludzi dobrych, cnotliwych i godnych.

(D. c. n.)

W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XVII.

Postanowienie Grzesia i dzielnego Zapały było niezłomne. Widzieli oni, że usiłowania bohaterskiej garści załogi klasztornej w części tylko dobry skutek uwieńczył, w części zaś Szwedzi przeszkodzili zniszczeniu wieży-tarana.

O, jak tam, z wałów klasztornych muszą w tej chwili wypatrywać oczy, jak z niepokojem zadawać sobie pytanie, czy ta wieża groźną będzie dla murów jasnogórskich w dniu jutrzejszym, w dniu straszliwego szturmu?...

Tymczasem nadbiegł oficer od samego Müllera i dał polecenie dodowódcom bateryi, znajdujących się najbliżej przy wałach i fosach klasztornych, aby skoro świt rozpoczęły ogień do klasztoru.

Jakoż wśród mroźnej i wietrznej nocy na całej czołowej linii szwedzkiej rozległy się głosy komendy i zaczęły się jakieś przygotowania, przebiegali żołnierze, krzyżowały się rozkazy, zaskrzypiały wozy i wózki z amunicyą.

Ku pogrążonej w ciemności nocnej wieży nadciągali majstrowie ciesielscy, przepędzeni niedawno przez wycieczkę klasztorną, zjawili się inżynierowie, ustawiano straże.

Przy świetle pochodni oglądano olbrzymie koła i wały, na których przed tygodniem z ogromnym mozołem ustawiono wieżę, aby ją w dzień szturmu można było podsunąć w pobliże murów klasztornych.



Kompania z Poręby Mrzygłodzkiej, dyecezyi Kieleckiej, pod prewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

Spalone prochy i inne materye wybuchowe, nagromadzone pierwej na różnych piętrach wieży, obecnie znowu znoszono.

A czyniono to w ciszy, przy skąpem świetle, aby ludzie klasztorni nie mogli na ten punkt wśród ciemności skierować swych armat.

Grześ i Zapała wraz z innymi otrzymali niebawem rozkaz, aby przenosić prochy na ocaloną od pożaru wieżę. W milczeniu czas jakiś dźwigali jedną po drugiej beczułkę prochu, postępując wśród ciemności.

— Tę beczkę zapalę! — szepnął Grześ.

— Na rany Chrystusowe, zgubisz się! — odrzekł cicho Zapała.

— Nic to!

Szli znowu w milczeniu głuchem.

— Jakże to uczynisz? — zapytał raptem Zapała.

— Zobaczysz — odparł Grześ — jeno na Boga, nie trzymaj się blizko przy mnie!...

Głos jego drżał, coś strasznego w nim było.

Właśnie pierwsze beczułki na dalszych piętrach wieży układali żołnierze, przy słabych światłach pochodni, gdy Zapała z Grzesiem ustawiając swoją, niby niechcący, zrzucili ją na dół z wysokości znacznej.

Dało się słyszeć przekleństwo.

— Bydło, nie ludzie! — wykrzyknął oficer szwedzki—rozbili beczkę z prochem!... Hej, do pioruna, a ostrożnie tam aby z ogniem!...

Wtedy Grześ szepnął do Zapały rozkazująco:

— Cofnij się!...

Ten odszedł szybko o kilka kroków. Wówczas Grześ nagłym ruchem rzucił się ku stojącemu w pobliżu żołnierzowi z łuczywem, wyrwał mu je z ręki i z błyskawiczną szybkością podłożył ogień pod rozbitą beczułkę.

— Herr Gott! — dał się słyszeć rozpaczliwy wykrzyknik oficera szwedzkiego, a w tejże chwili rozległ się ogromny huk, dokoła zaś na sekundę dzień biały zajaśniał, poczem słup ognisty powstał na miejscu wieży-tarana, wysadzonej w powietrze wraz z ludźmi na niej się znajdującymi.

Ten to huk usłyszał, ten to słup ognisty ujrzał był pan Skórzewski z wałów klasztornych, gdy już był stracił nadzieję, czy wycieczka jego na coś się przydała, i wtedy to rzekł:

— Cud się stał!... przeklęta wieża zniszczona!... Znak w tem łaski Bożej!

I wtedy to ksiądz przeor Kordecki dodał:

— Jużcić to cud... Jeno kto był narzędziem w ręku Pana?...

ROZDZIAŁ XVIII.

Dokoła płonących resztek rozsadzonej prochem wieży w kilka chwil powstało istne mrowisko ludzkie. Ze wszech stron śpieszyli Szwedzi, cały obóz, jak długi i szeroki, burzył się, wrzał i z przerażeniem dowiadywał się o nowej stracie, o wielu rannych i zabitych wskutek nieszczęsnego wybuchu.

Wielu Szwedów zrozumiało, że to nowa jakaś, groźniejsza od poprzednich wycieczka załogi jasnogórskiej i zaczęło w panicznym przestrachu cofać się, szerząc nieład i zamieszanie w tej części obozu.

Wszyscy wodzowie spieszyli do namiotu Müllera, który z wielkiej wściekłości stracił mowę i oczyma jeno rzucał pioruny w stronę klasztoru.

— Czary!... sam Lucyper pomaga golonym pałkom!... Czary!.. — krzyknął wreszcie.

Poczem jął bluźnić straszliwie przeciw ojcom Paulinom i reszcie obrońców Jasnej-Góry, w duszy zaś lęk go jakiś dziwny obejmował.

Na wschodzie tymczasem zaczął się bielić świt poranny, więc Müller dał rozkazy, aby się wojsko gotowało do głównego szturmu.

Skorzystał z ogólnego zamieszania Zapała, aby ratować Grzesia.

Jako żołnierz doświadczony, Zapała w chwili wybuchu rzucił się na ziemię i tym sposobem pewnej śmierci uszedł. Porwał się wnet z ziemi, nawpół ogłuszony, i zaczął biedz ku miejscu, gdzie przed wybuchem stał Grześ.

Wśród wielu leżących pokotem Szwedów, przywalonych płonącemi belkami, nadaremnie wzrokiem przerażonym szukał ciała młodego bohatera.

— O, Matko Najświętsza!... pomóż mnie grzesznemu! — modlił się w duchu.

I nagle myśl straszliwa sparaliżowała jego ruchy.

— On zginął! — zginął! — powtarzał w duchu, przeciskając się przez kręcących się jak w ukropie żołnierzy szwedzkich, niewiedzących na razie, co i jak robić.

Ale nadbiegli wkrótce dowódcy, zaczęli wydawać rozkazy, rzucono się do gaszenia stosu płonących belek, wydobywano z pomiędzy nich zabitych i rannych.

Zapała pierwszym był wśród tych, którzy wynosili z tego straszliwego miejsca nawpół martwe ofiary sztrasznego wybuchu.

Napróżno atoli patrzył w napiętnowane bólem oblicza tych nieszczęsnych, wzrok jego nie mógł w nich rozpoznać rysów Grzesia.

— Gdzie jest?... Matko Boża, gdzie on jest?—powtarzał z rozpaczą.

Głuchy jęk usłyszał w pobliżu, a po chwili westchnienie:

— O, Matko Boża!

Zapała drgnął.

— To Grześ! — szepnął, a serce jego żołnierskie, zahartowane w bojach, nagle ogarnęła radość i rozrzewnienie.

— Żyje! — mruknął — oczywiście Bóg nań łaskaw!

Jęk powtórzył się i ciche wezwanie do Matki Bożej.

Zapała podbiegł do istnej sterty zwalonych belek, desek i bali.

Tutaj, w dole wykopanym głęboko, który służył na przechowanie różnych narzędzi rzemieślniczych, niezbędnych przy budowie wieży, spostrzegł kilkanaście ciał żołnierzy poległych.

— Grzesiu! — zawołał stłumionym głosem — Grzesiu!...

Z pośród nieruchomie leżących, zabitych żołnierzy, których ciała śnieg świeży, niby całunem śmiertelnym z lekka był już przyprószył, dał się słyszeć jęk cichy:

— Ratuj!

Zapała wskoczył oo dołu.

— Gdzieżeś, Grzesiu? — zapytał.

Z pod zwalonych trupów, dała się słyszeć odpowiedź:

— Tum jest!... w ręku śmierci!...

— Rannyś?... Nie rozpaczaj!... Wydobędę cię!...

Co rzekłszy, zaczął zwolna odsuwać ciała poległych żołnierzy szwedzkich i niebawem dobył z pomiędzy nich ciężko rannego Grzesia. Zapała najsampierw przekonał się, czy z rannego krew nie uchodzi. Niestety, ubranie na piersiach mokre było, ciepłe.

— Ogień straszliwy wewnątrz mnie pali! — jęczał ranny.

— Zaraz ci się ulży, jeno odetchniesz na wolności... Leżałeś wśród zabitych...

I doświadczony ten wojak zwolna dźwigał rannego młodzieńca, aby go wydobyć z onego ohydnego dołu.

Grześ słabym głosem zapytał:

— A wieża aby zgorzała?

— Nie frasuj się o to! — odrzekł Zapała — jeno z niej tyle zostało, ile potrzeba psu na budę... Już nie będzie miał Szwed z niej pociechy...

— Chwała Bogu!... Nie żal mi teraz życia...

Usiłował dźwignąć się na nogi, ale wnet opadł na ręce Zapały, omdlał.

Ten silnemi ramiony objął go i zwolna wyniósł z dołu.

Ale gdzie się udać?... Dokoła leżał groźny, zbudzony obóz szwedzki.

Jedyną drogą ratunku było dostanie się do klasztoru.

Jak atoli przebyć głęboką fosę klasztorną, w części napełnioną wodą, jak dać do poznania oblężonym, że to nie wróg się zbliża, że to nie jakiś fortel oblegających, lecz że zbliżają się oddani słudzy i czciciele tego cudownego miejsca, że pomocy żądają, że chcą się ukryć w murach klasztornych?... Toć jego nikt tam nie zna...

Daremnie rozmyślał nad tem Zapała, gdy trwoga obejmowała mu serce, gdyż Grześ leciał mu przez ręce, jak bez duszy.

Ale na trzeźwienie go, choćby zebranym z ziemi śniegiem nie było czasu.

Zapała korzystał z zamieszania, które wkradło się pomiędzy przednie straże szwedzkie, spłoszone wysadzeniem wieży-tarana w powietrze; jedyną jego myślą teraz było dostanie się pod mury twierdzy jasnogórskiej, jak najdalej od Szwedów.

Dźwigając lekkiego jak ptak Grzesia, raźno piął się pod górę, nie zważając na przejmujący wicher grudniowy, który rzucał mu wilgotne płatki śniegu prosto w oczy i świszczał koło uszu.

Już szczęśliwie dosięgnął połowy dość stromego wzgórza i w oddali ujrzał słabe światło w jednej z baszt klasztornych, gdy naraz ogromny lęk go przejął: wydało mu się, że już nie Grzesia trzyma w swych ramionach, a jeno jego ziemską powłokę, że ten serdeczny chłopak wyzionął ducha.

Przystanął więc, przyklęknął, zgarnął z ziemi garść śniegu i zaczął nim trzeć skronie rannego i czoło.

Młodzieniec poruszył się, głęboko odetchnął i wyszeptał:

— Żal mi umierać... Gdzie jestem?... Zdało mi się, że ojciec i matka są przy mnie, że panie Janowickie wraz z nimi o mnie się pytają... o mnie tylko mówią... Panienka Jadwiga... róże i lilie piękne trzyma w ręku... A przy nich chór aniołów...

Umilkł, znowu opadł i leciał przez ręce Zapały, który choć twarde żołnierskie miał serce, łzy poczuł w oczach.

— Biedaczek... żar go pali... nielada rany na ciele mieć musi, kiedy przytomność go co chwila odchodzi i bredzi w gorączce... Gdzie ci tu, biedaku, ojciec?... gdzie matka?... gdzie panie Janowickie?

Mówiąc to, zwilżył śniegiem spieczone usta rannego, podniósł się i dalej pod górę iść zaczął.

Z trudem mu to już przychodziło, bo się zmęczył i góra była stroma.

Naraz ranny, który dotychczas jak dziecko leżał w objęciach Zapały, wzdrygnął się i szarpać się rozpaczliwie zaczął, a z ust wydobywały się jęki i słowa:



Kompania z Wielunia, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, u stóp Jasnej-Góry.

— Zaklika!... zbrodzień!... porywa ją!... za żonę bierze!... Napróżno wyciągam do niej ręce!... O, ja nieszczęśliwy!... Już zginęła dla mnie!... na wieki zginęła!...

I wyczerpany gorączkowem widzeniem, nagle omdlał.

— Wielki Boże, Panno Święta, brońcie go od śmierci! — szeptał Zapała, a żal jak zmora przygniatał mu serce.

— Kiedyż ja dojdę do fosy?... Kiedy dam znać, że Grześ umiera?...

Wiatr na wzgórzu dął taki silny i mroźny, że Zapała coraz to szedł wolniej, tracąc siły.

Wtem tuż przed nim w ciemności dał się słyszeć głos pieśni do Matki Boskiej.

— Na pomoc! ratunku! — zawołał.

Pieśń ucichła, natomiast dało się słyszeć zapytanie:

— Kto jesteś, że na tem miejscu od ludzi, nie od Matki Bożej wzywasz ratunku?

— Wzywam Boskiej i ludzkiej! — odrzekł Zapała. — Ale kto ty jesteś?... Pomóż mi, zaklinam cię na Boga!...

— Nie wiele ci pomogę... Żebraczka Konstancya jestem... stara i słaba kobieta...

— Dokąd dążysz?

— Zbierać kule do obozu szwedzkiego...

— Dla kogo?

— Dla obrońców Przenajświętszej Maryi...

— Błagam cię, pomóż nam!... Musimy się dostać do klasztoru... Jeden z najdzielniejszych obrońców tego cudownego miejsca umiera mi na ręku bez pomocy, bez pojednania się z Bogiem...

Żebraczka, podpierając się na kosturze, zbliżyła się do Zapały.

— Głos twój, człowieku, nie ma fałszu!... Co każesz, zrobię... Ale ja biedna kobiecina, cóż ci pomogę?...

I drżąc z zimna, starowina stanęła przy Zapale i ujęła rękę rannego bezwładnie zwieszoną.

— Kogóż to umierającego dźwigacie?

— Tego, co straszliwą wieżę - taran spalił, w proch skruszył... Grzesia Brzuchańskiego...

Porwała się na to starowina z łkaniem i szlochaniem.

— Grzesia?... O, ja nieszczęsna!... Toć znam go od dziecka małego... Syn pana Jacka... Jasna w nim dusza... serce złote... A pójdźcież z nim, sokołem, pójdźcież, wskażę co najkrótszą do klasztoru drogę... Dopieroż ksiądz przeor i ucieszy się i zmartwi... Byleby go jeno żywego donieść... Jeno byle żywego, to już tam przed ołtarzem z cudownym obrazem Bogarodzicy zdrów wstanie... O, mój królewicz kochany!...

I starowina, szlochając i lamentując, podtrzymywała zwisającą w tył głowę omdlałego Grzesia i idąc, wskazywała najbliższe przejście do fosy i murów jasnogórskich.

Szli tak czas jakiś pod górę, aż niebawem zaczęli schodzić w fosę.

— Żyje nam aby?... — zapytał raptem Zapała, widząc, że są już blizko twierdzy.

Konstancya nachyliła się ku głowie rannego.

— Chyba żyje, bo skroń ciepła... — odrzekła.

— Grzesiu! Grzesiu! — zawołał głosem wzruszonym Zapała.

Odpowiedzi nie było.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



Nowiny z Częstochowy.

Jego Dostojność biskup dyecezyi płockiej, ks. Apolinary Wnukowski. Dyecezyanie płoccy z radością powitali wiadomość o przeznaczeniu dla nich na pasterza księdza Apolinarego Wnukowskiego. Radość ich słuszne miała podstawy. Nowy pasterz bowiem dał się poznać z niepospolitych zalet umysłu i serca, zalet, które sprawią nieomylnie, że pod Jego zarządem, spłyną na starożytną dyecezyę płocką zdroje dobrodziejstw duchowych; że w dyecezyi tej wzmoże się wiara głęboka, szczera gorliwość dla Kościoła, wierność dla Stolicy Apostolskiej; że dyecezyanie tem samem zbliżą się do Boga.

Jego Dostojność ks. biskup Apolinary Wnukowski obejmuje stolicę płocką w sile wieku, cieszy się przytem, z łaski Najwyższego, zdrowiem czerstwem. Urodził się w r. 1848, na Podolu. Rodzice, Maciej i Anna z Wojnarowskich, małżonkowie Wnukowscy, kształcili go starannie naprzód w domu, następnie w Kamieńcu Podolskiem, w tamtejszem gimnazyum. Głos powołania duchownego wcześnie przemówił w sercu młodzieńca. Idąc za nim, wstąpił w r. 1865 do seminaryum kamienieckiego, gdy zaś w roku następnym seminaryum to zostało zamknięte, z powodu skasowania dyecezyi kamienieckiej, przeniósł się do seminaryum w Żytomierzu, które chlubnie ukończył w r. 1870. Przełożeni seminaryum, widząc w nim zdolności wyjątkowe, wysłali go na dalsze nauki do petersburskiej akademii duchownej. Ukończył tam wyższe wykształcenie 1874, ze stopniem magistra Ś-tej Toologii.

Święcenie kapłańskie otrzymał w r. 1872, 15 czerwca. Wróciwszy po ukończeniu akademii duchownej do Żytomierza, został profesorem języka łacińskiego i prokuratorem seminaryum; obok tego, aż do zamknięcia seminaryum żytomierskiego, wykładał tam obrzędy, śpiew kościelny, historyę Kościoła i Pismo Ś-te. W r. 1877 został powołany na

stanowisko obrońcy Sakramentu małżeństwa; w roku następnym mianowano go profesorem petersburskiej akademii duchownej, lecz wtedy zdrowie nie pozwoliło mu przyjąć godności zaszczytnej. W r. 1886 obejmuje godność wicedziekana katedry żytomierskiej; w latach zaś następnych widzimy go na stanowiskach: kanclerza kuryi biskupiej (godność tę piastował przez lat kilkanaście przy ś. p. biskupie Kozłowskim); penitencyaryusza przy kościele katedralnym w Żytomierzu; kanonika honorowego; asesora konsystorza żytomierskiego; rektora seminaryum dyecezyalnego i profesora dogmatyki; prałata - scholastyka Kapituły łucko-żytomierskiej; prałata-kustosza. Wreszcie w roku bieżącym Stolica Apostolska wyniosła go na biskupstwo płockie, tak starożytne, tak zaszczytnie w dziejach Kościoła i narodu odznaczone.

Konsekracya Jego Dostojności odbyła się 13 listopada, w petersburskim kościele Ś-tej Katarzyny. Dopełnił onej J. E. ks. arcybiskup-metropolita mohylowski, hrabia Jerzy Szembek, w asystencyi biskupów: wileńskiego Roppa i kujawsko-kaliskiego Zdzitowieckiego. *Breve* Papieża o mianowaniu Jego Dostojności ks. biskupa Wnukowskiego odczytał prałat płocki, ks. Petrykowski, który wraz z ks. kanonikiem Tomaszem Kowalewskim przybył na uroczystość z Płocką do Petersburga. W uroczystości nadto uczestniczyli przyjaciele Dostojnego Nominata, przybyli z prowincyi panowie: Moszczyński, Kosacki, Bohdanowicz i Sawaniecki.

Z Petersburga udał się Jego Dostojność na Jasną-Górę, aby tam polecić się opiece Boga i Przemożnej Orędowniczki przy objęciu wysokiego dostojeństwa, połączonego z niezmiernie trudnemi obowiązkami i wielką odpowiedzialnością. Rozrzewniający widok przedstawiał Czcigodny i Dostojny Pasterz, korzący się u ołtarza, przed cudownym wizerunkiem Pani, „co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci bramie". Modlił się tam Pasterz z pokorą, zapałem i żarliwością świętobliwych mężów, z niewinnością dziecka, z wiarą pierwszych chrześcijan, a niemylnie Niepokalana użyczy Mu Swej łaski, w pełnieniu trudnych obowiązków.

Z Jasnej Góry, przez Warszawę, podążył wreszcie J. Ekscelencya statkiem parowym do Płocka, stolicy dyecezyi swojej.

Budowa wieży. Uzupełnienie rozmaitych dodatkowych, acz niezbędnych szczegółów w konstrukcyi żelaznej wieży, trwa do tej pory. Są to już głównie roboty wewnętrzne — gdyż zewnętrzny szkielet ukończono, a nawet można rzec, w trzech czwartych pokryto blachą miedzianą.

Architektura w tej części opracowana z prawdziwym pietyzmem, odtwarza w zupełności wygląd dawnej wieży — w najdrobniejszych szczegółach, oczywiście z tą różnicą, że dawna, domorosła poniekąd czę-



Jego Ekscelencya ks. Apolinary Wnukowski, biskup dyecezyi płockiej.

Fot. „Dzwonka Częstochowskiego."

stochowska architektura, została w sposób umiejętny uporządkowaną. Dalszy ciąg robót blacharskich z powodu zimna odłożono do wiosny roku przyszłego.

Kompania z Wielunia. Gorliwy o chwałę Bożą proboszcz parafii wieluńskiej ks. kanonik Godorowski przyprowadził swą owczarnię do stóp Jasnej-Góry, aby tutaj przed cudownym obrazem obmyli dusze swe z grzechów i uzyskawszy błogosławieństwo Matki Najświętszej nabrali siły do dalszej walki z pokusami życiowemi.

Kompania z Ostrowiec, dyecezyi Kieleckiej. Ciężką, mozolną pielgrzymkę odbyli parafianie ostrowieccy, bo kilkadziesiąt mil tu, na Jasną-Górę i z powrotem pieszo, pod przewodnictwem ks. Brykowskiego, wikaryusza tej parafii. Szczerą wdzięcznością serca tych dobrych dusz były przepełnione dla swego ojca duchownego, za to, że im towarzyszył w tej pielgrzymce, a co najważniejsza, że był czułym ojcem i opiekunem tak duszy jak i ciała, bo prócz starania o przyjęcie Sakramentów świętych, troszczył się o ich zdrowie i wygody podróży.

To też pielgrzymkę tegoroczną parafianie ostrowieccy zaliczają do najmilszych, jakie kiedykolwiek odbywali.

O F I A R Y:

Na klasztor Jasnogórski

Stan. Tom.	rb.	1	—	kop.
Ks. Ad. Goz. w Chocisz.	„	3	—	„
Ant. Rup. w Wasil.	„	—	15	„
Jan. Psar.	„	—	95	„
Czajk.	„	2	—	„



Nowiny z daleka i z blizka.

Uroczystości jubileuszowe. Pięćdziesiąta rocznica ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia znalazła odgłos w sercach katolików całego świata. Wierni, zamieszkali w Afryce, postanowili również ją uczcić przez odpowiedni obchód kościelny. Arcybiskup Kartaginy rozesłał w tym celu pismo do dyecezyan swoich, w którem przypomina, jak się zachował Kościół afrykański w roku 1854, to jest w chwili ogłoszenia dogmatu przez Papieża Piusa IX. W tym czasie Kościół katolicki w Afryce dopiero rozpoczynał swoje istnienie, liczył zaledwie lat 17 od swego założenia, mimo to członkowie jego już wtedy okazali żywą radość z powodu tak doniosłego zdarzenia, bardzo gorliwie starali się je upamiętnić, za pomocą solennych nabożeństw w tymczasowych kaplicach, za pomocą przystępowania do Sakramentów Ś-tych, oraz za pomocą innych praktyk religijnych. Arcybiskup Kartaginy dzisiejszy był wówczas prawie dzieckiem, lecz żywo pamięta te uroczystości, nadmienia też w piśmie swojem, że dyecezyanie nie zawiodą jego ufności i z równą gorliwością zajmą się upamiętnieniem pięćdziesiątej rocznicy wiekopomnego zdarzenia, skarbiąc sobie jednocześnie łaskę i Maryi orędownictwo do Boga.

Rzym. W połowie miesiąca ubiegłego odbył się konsystorz tajny, na którym Jego Świętobliwość mianował i prekonizował kilkunastu arcybiskupów i biskupów dla Włoch i Hiszpanii, mianowicie na stolice: w Walencyi, Salamance, Luce, Segowii, Oviedo i Siennie. Na tymże konsystorzu Ojciec Ś-ty wypowiedział bardzo doniosłe słowa, głównie dotyczące spraw Kościoła we Francyi. Więc wspominając o mianowaniu nowych arcybiskupów i biskupów, oraz o blizkiej kanonizacyi dwóch nowych Świętych, oświadczył, iż chociaż doświadcza z tego powodu ra-



Jego Ekscelencya ks. Apolinary Wnukowski, biskup dyecezyi płockiej, w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Fot. „Dzwonka Częstochowskiego"

dości, jednak ojcowskie Jego serce boleje głęboko, gdy rozważa przeróżne sprawy i wypadki, jakie obecnie dzieją się na świecie. Do takich wypadków należy przedewszystkiem wojna na dalekim Wschodzie i poniewierka religii we Francyi, przez co Francya traci charakter mocarstwa chrześcijańskiego. Jego Świętobliwość błaga Boga, aby ową wojnę nieszczęsną jak najprędzej doprowadził do końca. Co do Francyi, stosunki tamtejsze są tego rodzaju, iż obecnie, chwilowo przynajmniej, mianowanie biskupów dla tego kraju jest niemożliwe. Rząd francuski utrzymuje, że Stolica Apostolska naruszyła konkordat, to jest przymierze z Francyą. Twierdzenie to najzupełniej fałszywe. Wszystka wina naruszenia przymierza spada na Francyę, gdyż właśnie rząd tamtejszy prześladuje religię, krępuje jej swobodę na każdym kroku, nie pozwala na odprawianie nabożeństw, występuje przeciw zakonom, zakazuje biskupom porozumiewać się bezpośrednio ze Stolicą Apostolską. Ponieważ nadto położenie nie zmienia się na lepsze, można przypuścić, że rząd francuski chwyci się kroków ostatecznych. Stolica Apostolska przeto, w obronie praw Kościoła i powagi swojej, będzie zmuszoną wystąpić z protestem publicznym. — „Jesteśmy na wszystko gotowi i bez trwogi patrzymy w przyszłość — tak zakończył przemówienie Jego Świętobliwość—bowiem umacniają nas słowa Chrystusa. I wy, Czcigodni Bracia, podwójcie błagania Wasze do Boga, aby raczył, za wstawiennictwem Niepokalanie Poczętej, przyśpieszyć Kościołowi dni pokoju i zgody.“

= Jego Świętobliwość udzielił posłuchania księciu koreańskiemu, Tonemine. Książe ten doręczył Ojcu Ś-mu własnoręczne pismo cesarza Korei, w sprawie opieki nad miejscową ludnością chrześcijańską, której ma być przyznana zupełna wolność wyznania. Dotychczas chrześcijanie w Korei nie byli bezpieczni, przeciwnie — groziło im na każdym kroku prześladowanie ze strony pogan.

= W Rzymie odbywa się zjazd lekarzy katolickich, którzy do Miasta Wiecznego przybyli bardzo licznie z Francyi, Hiszpanii, Holandyi, Belgii i Szwajcaryi. Gości tych przyjmuje rzymskie Towarzystwo lekarzy katolickich, z prezesem swoim, d-rem Tausingem, na czele. Lekarze już odbyli spólną pielgrzymkę jubileuszową do grobu Ś-go Piotra i złożyli hołd Ojcu Ś-temu. Każdy z nich otrzymał medal pamiątkowy, z wyobrażeniem Najświętszej Panny Maryi Niepokalanego Poczęcia z jednej strony, a z wizerunkiem Ś-go Łukasza (który, jak wiadomo, był lekarzem) z drugiej. Oprócz tego medale są ozdobione stosownemi napisami.

= W okolicach Anagni znaleziono bardzo starożytne katakumby, w których grzebano pierwszych chrześcijan. Podziemne te korytarze

posiadają przeszło 20 metrów długości, z obu stron znajdują się grobowce z napisami. Jeden napis, farbą olejną wykonany, niezgorzej się zachował; on to świadczy, że tu grzebano zwłoki chrześcijan. Niedaleko od tych katakumb odnaleziono szczątki równie starożytnej kaplicy, sięgającej pierwszych wieków chrześcijaństwa. Pomiędzy szczątkami przechowały się odłamy filarów, które wspierały tę budowlę.

= Zmarł w Rzymie ś. p kardynał Maria Mocenni. Przeżył lat 81, więc był najstarszy wiekiem z pomiędzy kardynałów. Urodził się w Montefiascone; pracował najprzód, jako młody kapłan, przez lat 12, na katedrze, nauczając literatury; następnie, zawezwany przez Piusa IX do Rzymu, kształcił się na męża stanu. Z kolei zajmował stanowiska: sekretarza nuncyatury wiedeńskiej; nuncyusza w krajach amerykańskich, mianowicie w Chili, w Peru, Boliwii i Brazylii. Leon XIII powierzył mu zastępstwo sekretarza stanu, a przed laty jedenastu mianował go kardynałem, zarządzającym interesami watykańskiemi i świętopietrzem, oraz prefektem pałaców watykańskich. Na tem stanowisku kardynał Mocenni pozostawał do zgonu.

Ingres Jego Dostojności biskupa dyecezyi płockiej, ks. Apolinarego Wnukowskiego. Stolicę swoją Jego Dostojność objął d. 4 grudnia, w niedzielę, w tym bowiem dniu odbył się tak zwany *ingres* do starożytnej katedry płockiej, wzniesionej pono przez Mieczysława I, zaraz po wprowadzeniu do Polski wiary chrześcijańskiej. Ceremonia rozpoczęła się o 9-tej z rana. Znak dał odwieczny dzwon „Zygmuntem“ zwany, umieszczony w wysokiej, ciężkiej, czworokątnej wieży, wspartej potężnemi skarpami, a stojącej naprzeciwko katedry. Wieża ta jest pozostałością zamku płockiego, sięga zamierzchłych czasów. Ongi przemieszkiwali w tym zamku królowie Władysław Herman i Bolesław Krzywousty, a następnie książęta mazowieccy, począwszy od Konrada I, zwanego z powodu okrucieństwa Czartem.

Otóż na hasło starego Zygmunta, zafalowały rzesze wiernych, zgromadzone przed katedrą. Wszystkich oczy zwróciły się ku skromnemu, piętrowemu domkowi, w którym zamieszkują pasterze płoccy. Stamtąd zbliżał się do katedry Jego Dostojność, poprzedzany licznem duchowieństwem, w asystencyi dwóch dziekanów: ks. kan. Tomasza Kowalewskiego, płockiego i ks. Wiktora Radzikowskiego, ciechanowskiego. Pasterz kroczył pod baldachinem, który trzymali obywatele ziemscy i miejscy, panowie: Piwnicki, Święcki, Strzeszewski, Mądrzejewski, Włoczewski i Szymański. Przy wejściu do katedry Jego Dostojność powitany został hymnem: „Oto Kapłan Wielki“.

W katedrze, oddawszy cześć Przenajświętszemu Sakramentowi Jego Dostojność zasiadł na tronie, ks. kanonik Jarniński odczytał bullę papieską. W dalszym ciągu ceremonia postępowała według wskazań ks. kan. Bornińskiego, mistrza obrzędu. Administrator dyecezyi, ks. prałat Nowowiejski, zwrócił się do Jego Dostojności z przemową. Wyraziwszy radość duchowieństwa z powodu wstąpienia na tron Jego Dostojności, nadmienił:

— Przychodzisz do nas otoczony wielkiem światłem. Stajesz tu jako wódz i przewodnik nasz. Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie!

Jego Dostojność odpowiedział wymownie, mądrze i serdecznie. Pomiędzy innemi, taką wygłosił naukę:

— Powiedziano o kapłanach: „wy jesteście światłem świata". Jakoż kapłani powinni być światłem wiary nieskalanej; światłem nadziei, nie znającej zwątpienia; światłem miłości w duchu Chrystusowym.

Z kolei rozpoczęło się składanie hołdu. Najprzód duchowieństwo, a następnie osoby świeckie zbliżały się do tronu i na klęczkach całowały dłoń Pasterza. Potem Jego Dostojność przemówił z ambony. Rozpocząwszy od starodawnego pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!", snuł w dalszym ciągu naukę, wyjaśniając znaczenie słów: „Łaska Pańska niech będzie zawsze z wami".

— Trudne są obowiązki pasterza—nauczał. — Musi zostawać w dobrem porozumieniu z owieczkami, musi posiąść ich miłość i zaufanie, aby mógł umacniać ich umysły w wierze i panować nad ich sercami. Tu zwłaszcza, w tej świątyni prastarej, gdzie tyle łez, modlitw i skarg płynęło od wieków, potrzeba utrzymania wiary jest tem konieczniejszą.

Po nauce, Jego Dostojność odprawił Mszę uroczystą, udzielił wiernym błogosławieństwa, wreszcie opuścił katedrę przy odgłosie kapeli i śpiewów, kierowanych umiejętnie przez ks. Eugeniusza Gruberskiego.

Z katedry udał się Jego Dostojność do mieszkania swego, aby tam przyjmować życzenia wybitnych mieszkańców Płocka i okolic. W podejmowaniu gości dopomagali mu: ks. prałat Nowowiejski, ks. prefekt Kuligowski i ks. kapelan Dubowski. Dostojny Pasterz okazał wielką serdeczność, dla każdego znalazł miłe słowo. Przy toaście obywatelskim powiedział:

— W przedmiotach wielkich zawsze znajdzie się miejsce dla rzeczy mniejszych. Obok wiary i przywiązania dla Kościoła znajdzie się zawsze też miejsce dla innych uczuć naszych, a to, co miłujemy gorąco i co nam jest drogie, wyda się jeszcze milszem, jeszcze doskonalszem, gdy będzie opromienione modlitwą naszą do Boga, jako źródła wszelkich łask i dobrodziejstw.

Jego Dostojność odrazu zdobył serca owieczek swoich. Inaczej być nie mogło. Jest uosobieniem dobroci i świętobliwości, uosobieniem Dobrego Pasterza, który gotów jest dać życie za owczarnię swoją. Niechże Mu Bóg Najwyższy pomaga w pracy apostolskiej.

Ks. W. R.

= O trzy dni wcześniej, 10 listopada, J. E. ks. arcybiskup-metropolita mohylowski Jerzy hrabia Szembek dopełnił aktu konsekracyi najmłodszego z biskupów katolickich w Cesarstwie, ks. Józefa Kesslera. Asystowali przy tej ceremonii również Ich Dostojności biskupi: wileński



J. E. ks. Edward baron Ropp, biskup wileński, w otoczeniu dostojnego duchowieństwa podczas dyecezyalnej wizytacyi w parafii Korkorzyskach.

i kujawsko-kaliski—Ropp i Zdzitowiecki, a uroczystość również się odbyła w petersburskim kościele Ś-tej Katarzyny. Nadto w kościele znajdowali się: J. E. biskup płocki ks. Wnukowski; prałaci Kapituły płockiej księża Petrykowski i Kowalewski; protonotaryusz apostolski ks. prałat Antonay; kapłani obrządku ormiańskiego księża Maszur i Der Abraamian. Ten ostatni bawił w Petersburgu celem załatwienia spraw kościołów ormiańskich w dyecezyi tyraspolskiej, a więc w dyecezyi konsekrowanego biskupa, ks. Kesslera.

Nominat urodził się we wsi Louis, blizko Saratowa, z rodziny włościańskiej, w r. 1864, dnia 12 grudnia. Mając lat 15, wstąpił do tak zwanego mniejszego seminaryum w Saratowie, po którego ukończeniu został przyjęty w poczet kleryków seminaryum duchownego. Skończył następnie, w r. 1889, ze stopniem magistra Ś-tej Teologii, petersburską akademię duchowną, gdzie zjednał sobie względy przełożonycb i przyjaźń kolegów. Nauczał potem, w swej pierwszej uczelni duchownej w Saratowie języka łacińskiego, pracując jednocześnie jako wikaryusz parafialny. Pełnił dalej obowiązki proboszcza w rozmaitych parafiach dyecezyi tyraspolskiej, dopóki w r. 1903 nie został powołany na inspektora i profesora Pisma Ś-go oraz prawa kanonicznego seminaryum w Saratowie. Biskupem mianowany został w roku bieżącym. Młody stosunkowo Pasterz odznacza się głęboką wiedzą i gorliwą pobożnością.

Portret nowego dostojnika kościoła i życiorys podamy w tomie styczniowym naszego pisma.

Z listu ks. Hugona Dylli ze Zgromadzenia księży Misyonarzy, z kolonii polskich w Brazylii. Dziś, gdy już przez kilka miesięcy przypatrywałem się i mieszkańcom i zwyczajom Parany i w kilku innych koloniach byłem, cokolwiek więcej wam donieść potrafię.

Mieszkamy w Brazylii, ale nasz stan Parana jest małą tylko cząstką tego olbrzymiego kraju. Jak wiadomo, ma rzeczpospolita Zjednoczonych Stanów Brazylii 8,361,000 km. kwadr., a liczy okołe 17,000,000 mieszkańców. Składa się zaś z 20 prowincyj czyli stanów: Amazonas, Para, Maranhao, Pianhy, Ceara, Rio Grande do Norte, Parahiba, Pernambuco, Alagoas, Sergipe, Bahia, Espirito Santo, Rio de Janeiro, Sao-Paulo, Parana, Santa Catharina, Rio Grande do Sul, Minas Geraes, Goyaz, Matto Grosso i Muncipe neutro de Rio de Janeiro.

Parana ma tylko 240,000 km. kwadr., jest więc trochę mniejsza od Królestwa Włoskiego, ale dotychczas jeszcze bardzo słabo zaludniona. Podczas gdy Włochy mają 32,000,000 mieszkańców, Parana ma ich zaledwie 320,000.

Mieszkańcy dzielą się na tubylców i przybyszów; pierwszych jest do 200,000, a do nich należą: Indyanie czystej krwi, dzielący się na kilka szczepów, wśród których Botokudzi, mieszkający na pograniczu Parany i Santa Catharina, należą do najdzikszego szczepu na kuli ziemskiej. Do krajowców zaliczają się jeszcze Brazylianie leśni, tak zwani „cabucios“, są to potomkowie niewolników, sprowadzonych z Afryki, którzy dziś są już wolnymi.

Przybyszów jest około 120,000, a wśród tych 70,000 Polaków, na resztę składają się Niemcy, Włosi, Portugalczycy i Maronici z Libanu;

jest także trochę Francuzów. Kilku Żydów przybyło także do Parany, zwabionych nadzieją szybkiego zbogacenia się.

Żywioł polski więc jest najliczniejszy wśród tutejszej emigracyi. Polaków spotyka się w całej Paranie już to na koloniach czysto polskich, już rozprószonych wśród Niemców, Włochów i Brazylijczyków. Niemców czystej krwi jest mało; mieszkają przedewszystkiem po miastach i częścią trudnią się handlem, częścią są rzemieślnikami; kolonistami są tylko Niemcy z nad Wołgi z państwa rosyjskiego, którzy w większej części są protestantami.

Parana nie jest jeszcze zupełnie znanym krajem, miejscami tylko prowadzi wązki szlak znany do sąsiedniego stanu Matto Grosso, z którym graniczy na północ; centralną granicę tworzy tu rzeka Parana-Panema; na południe graniczy ze stanem Santa Catharina i Rio Grande de Sul, naturalną granicę tworzą góry i rzeka Uruguay; od zachodu naturalną granicę od Argentyny i Paraguaju stanowią rzeki.

Klimat tu bardzo rozmaity, od gorącego podzwrotnikowego stopniowo, aż do umiarkowanego, prawie europejskiego. Pochodzi to stąd, że Parana dzieli się na dwie nierówne części: pas nadmorski do 60 klm. szeroki, ma klimat podzwrotnikowy z wszystkiemi płodami strefy gorącej; rodzi się więc wybornie kawa, bawełna, trzcina cukrowa, palmy w kilku odmianach. Reszta kraju zajmuje płaskowzgórze, dochodzące aż do 1000 metrów wysokości i tu jest klimat umiarkowany, suchy i zdrowy. Napotykają się tu jeszcze płody strefy gorącej, ale przedewszystkiem udają się tu owoce europejskie.

Niema atoli wiosny i jesieni, jest tylko zima i lato, które przypadają w odwrotnym czasie, niż w Europie, a więc podczas zimy europejskiej jest lato w Brazylii od października do marca. Zima jest całkiem inna od zimy europejskiej, rano i wieczór tylko chłodno, w południe zawsze ciepło, czasem upał jest taki, jak u nas wśród najgorętszego lata. Zieleń utrzymuje się przez cały rok, z niektórych tylko drzew opadają liście; kapusta, ziemniaki i inne mniej wybredne ogrodowizny rosną przez cały rok. Zdarza się czasem tylko mróz, termometr spada najniżej do 4^0 poniżej zera. My jeszcze nie doświadczyliśmy mrozu, choć przybyliśmy do Parany w sam środek zimy; kilka razy wczesnym rankiem był biały szron. Opowiadają, że przed 12 laty spadł śnieg na kilka cali; było to rzadkie, prawdopodobnie pierwsze zjawisko dla Brazylijczyków, którzy mówili, że zima przyszła za Polakami do Brazylii. Zdaje mi się, że mi jeszcze nigdy nie było tak zimno, jak tu, w Brazylii, w gorącym kraju; tutejsze bowiem zimno jest dziwnie przenikliwe i wilgotne; a nadto są zbyt wielkie skoki w temperaturze. Dzień jest np. ardzo gorący, termometr wskazuje 26^0, za chwilę kryje się słońce za hmury i odrazu jest chłodno; są takie dnie, w których kilka razy jest

bardzo gorąco i bardzo chłodno. Po słocie niebo się bardzo wypogadza, robi się na noc tak zimno, że z pewnością nastąpiłby mróz, gdyby nie mgła, która w każdej prawie nocy powstaje. Mgła w Europie znienawidzona, tu chyba wielkiem jest dobrodziejstwem, bez niej w ciepłych już nawet miesiącach, jak naprzykład w październiku, zmarniałyby niejednokrotnie wszystkie zasiewy.

Temperatura bardzo niestała. Wrzesień był cały pogodny i bardzo gorący; ziemia, a zwłaszcza grunt gliniasty, zmienił się jakby w kamień, miejscami porysował się grunt głęboko, niepodobna było sadzić;



Brazylia. — Parana. Kościół księży Misyonarzy polskich pod wezwaniem ś-go Michała i plebania w Thomaz-Coelho, podług fotografii.

październik za to był bardzo słotny, z wyjątkiem kilku dni, padało wciąż. Listopad zaczyna być gorący, w ciągu dnia piecze słońce niemiłosiernie, ale ranki i wieczory są zawsze chłodne. Skoro tylko słońce zajdzie, w tej samej chwili chłodno się robi.

Klimat bardzo zdrowy, choroby są bardzo rzadkie. Katar tylko z powodu niestałej i zmiennej temperatury jest bardzo powszechny, panuje także zimową porą influenza i reumatyzm, ale o innych chorobach mało się słyszy. Chorują wprawdzie ludzie na nerwy, podobno dość częste zachodzą wypadki pomięszania zmysłów, ale trzeba to raczej pijaństwu, niż klimatowi przypisać. Ludzie żyją tu powszechnie do 100

lat i pomimo tak podeszłego wieku, bardzo dobrze się trzymają. Jeden z najbliższych sąsiadów naszych ma 80 lat i pieszo biegnie co tydzień do Kurytyby, odległej 25 klm. od nas; tym, którzy mają po 70, przypisałoby się najwięcej 45 lat.

O godzinie 6½ stanęliśmy w Kurytybie. Na dworcu oczekiwał nas ks. Deschand, dyrektor seminaryom, z ks. Mello, był także p. Bielecki, redaktor „Gazety Polskiej“ i jakiś inny jeszcze Polak.

Jechaliśmy długo tramwajem, bo seminaryum jest za miastem, a Kurytyba bardzo rozrzucona. I znowu byliśmy u naszych księży i przez cały tydzień nadużywaliśmy ich gościnności i uprzejmości. Ks. Deschand jest bardzo lubiany w całem mieście—Brazylijczycy i Polacy wyrażają się o nim nie inaczej, jak tylko z szacunkiem. Było nam tu tak dobrze i swobodnie, jak w Krakowie na Kleparzu.

Seminaryum — to ogromny gmach, w połowie dopiero nkończony. Seminarzystów jest tylko około 40, wśród nich zaś 9 Polaków, ale nie mają jeszcze profesora do języka polskiego, choć usilnie się o to stara ks. rektor.

Kurytyba liczy około 30,000 mieszkańców; jest to miasto europejskie. Domy ładne, sklepy urządzone z komfortem, niektóre są prześliczne. Przed 30 laty była to nędzna mieścina, gubernator boso na mule jeździł; dziś to już wielcy panowie. W Kurytybie jest pełno Niemców i Polaków, w każdym prawie sklepie rozmówić się można po polsku i po niemiecku. Na koloniach wielu Brazylijczyków mówi nieźle po polsku, tak samo i niektórzy Włosi po polsku się nauczyli.

Parana liczy przeszło 300,000 mieszkańców; żywioł polski jest przeważający. bo Polaków jest 80,000, a reszta Niemców, Włochów, których tu bardzo wielu, Maronitów z Małej Azyi i Brazylijczyków. W Kurytybie jest do 3,000 Polaków; na każdej ulicy, przed każdym prawie domem, widzi się Polaków. Poznaje się ich odrazu, odbijają od wszystkich; są to stanowczo najpiękniejsi ludzie.

Słusznie bardzo pisał profesor Siemiradzki, że Parana, to nowa Polska — to samo mówią Brazylijczycy. Przypadkiem wpadła mi w Rio de Janeiro geografia w języku portugalskim, w której Parana również nazwana „Nowa Polonia.“

Biskupa niema w domu, wizytuje rozrzucone parafie, wraca dopiero pod koniec sierpnia. Na razie przeznaczono nas do kolonii Thomaz-Coelho, przeszło 20 km. od miasta odległej. Dowiedzieli się o tem koloniści, niektórzy przeszli do nas do seminaryum, aby dowiedzieć się w sobotę rano, 4 lipca, czy już w niedzielę rozpocząć nabożeństwo. Nasi księża w Kurytybie zaopatrzyli nas w wino mszalne i stołowe.

Pełni otuchy i nadziei, że Bóg nam pobłogosławi w pracy na nowej ziemi, jechaliśmy do Thomaz-Coelho. Dzień był piękny, po drodze



Brazylia. — Parana. Ks. Superyor Deschand i jego towarzysz z Kurytyby w gościnie u polskich księży Misyonarzy: ks. Superyora Bayera, Chylaszka i Dylli w Thomaz-Coelho, podług fotografii.

spotykaliśmy co kilka kroków jakiegoś Polaka; pozdrawiali nas, bo już rozeszła się wieść po całej okolicy, że księża polscy przyjechali. W gajach śpiewały rozmaitego rodzaju ptaszki, nad głowami krążyły jastrzębie, których tu jest bardzo wiele. Ziemia stawała się falista, a po dwugodzinnej jeździe wychylił się mały kościołek z trzema wieżami — obok niego plebania.

Na przywitanie puszczano rakiety, gromadka ludzi zbiegła się, aby przypatrzyć się nowym księżom. Już trzy miesiące nie mieli nabożeństwa, a tu naraz przyjechało aż trzech księży. „Niech się jegomoście nie boją — mówili — u nas, dzięki Bogu, chleba dość!"

Plebania mała, dość zrujnowana, płoty się prawie walą, ale powoli wszystko się odrestauruje. Za to kościół bardzo przyjemny i gustowny, na lekkiem wzniesieniu; w kościele czyściutko, ładne ornaty i kapy, ołtarz piękny, balaski i ambona prześlicznej roboty, lichtarze, chorągwie i feretrony, jak w porządnych kościołach europejskich.

W pierwszym dniu dziwnie nam się przedstawiała nowa nasza siedziba; wokoło pusto i głucho, bo kilka tylko widać domków i to w znacznej odległości jeden od drugiego. Za to widok pyszny, ze wszystkich stron pagórki, ziemia tu wogóle bardzo falista; na wzgórzach ziemia uprawna, albo lasem pokryta, z którego wystają wysoko olbrzymie sosny amerykańskie, tak zwane piniejry (*pinheiro*). Trawa zrzedła, pola puste, bo tu zima w całej pełni, ale wszystko zielone, kapusta i kartofle wszędzie po ogródkach rosną. Kolonia nasza ciągnie się wzdłuż na 3 mile; wszędzie po pagórkach i dolinach rozrzucone bardzo dobrze i ładnie zbudowane domki kolonistów, obok nich stodoła i obora dla bydła w ogrodzie drzewa pomarańczowe, a gdzieniegdzie banany. Do kościoła wierni mają bardzo daleko, ale mimo tego gromadnie przychodzą na nabożeństwo.

Rozeszła się wieść po całej kolonii, że księża już przyjechali i nabożeństwo będzie. Już po godzinie 10 był cały tłum kolonistów przed kościołem; zapomniałem, żem w Brazylii, zdawało mi się, że jestem gdzieś na misyi w Galicyi. Wszystko jak w Polsce, ci sami poczciwi i pobożni Polacy, takie same zwyczaje, ten sam ubiór, to samo nabożeństwo, te same pieśni w kościele i procesya, te same psalmy na nieszporach. Parafianie tak serdecznie płakali podczas kazania, gdy im ksiądz przypomniał pierwsze lata, gdy do Brazylii przyjechali i pod gołem niebem mieszkać musieli, bo nie było domku, nie było ziemi uprawnej, ale lasy tylko, które karczować i palić musieli w pocie czoła. Mieli wreszcie już domek i chleb razowy, ale nie było kościołka, nie było kapłana i dopiero wtenczas na dobre ogarnęła ich tęsknota za krajem rodzinnym. Wybudowali w końcu ładny kościół; był tu jeden i drugi i trzeci kapłan, ale raz po raz osieroceni zostawali; już 3 miesiące, jak

nie sprawowała się tu Najświętsza Ofiara i nie udzielano Sakramentów ś-tych, aż wreszcie Bóg ich prośby wysłuchał i trzech kapłanów im posłał.

Równocześnie odprawiało się nabożeństwo w drugim mniejszym kościołku Matki Boskiej.

Nasi koloniści są prawie wszyscy z pod Jasła i Gorlic; przy drugim kościele jest wielu ze Śląska Pruskiego. Zostali i tu w Brazylii poczciwymi i pobożnymi Mazurami, nowe pokolenie już dorosłe, zupełnie do rodziców podobne. Pierwsi przyjechali tu przed 27 laty, mówią tylko po polsku. Niektóre tylko słowa zaczerpnięte z portugalskiego.



Brazylia. — Parana. Filialny kościołek Matki Boskiej Bolesnej w polskiej kolonii Thomaz-Coelho, podług fotografii.

Na kukurydzę nie powie nikt inaczej jak tylko: milia, na pomarańczę: aranzia, na błota: banijady, na towarzysza: kompanier i t. d.

Księdzu oddaliby wszystko. Już w pierwszy dzień przyniósł nam chłop bochenek chleba, worek ziemniaków i trzy koguty. Na drugi dzień mieliśmy już kilka kur, kilka chlebów, masło, kilkanaście główek kapusty i tak dzień po dniu znoszą kaszę, zemniaki, ser, jaja, kury, garnki i garnuszki, bo jest tu kilku garncarzy, mąkę i t. d. Zabije ktoś w pobliżu wieprza, przyniesie nam całą łopatkę. Tu z głodu chyba nie pomrzemy...

Kolonia Thomaz-Coelho należy do najbogatszych w Paranie. Chłopi mają po 20 morgów przeciętnie, a ponieważ miasto niedaleko, więc wszystko spieniężyć mogą. Urodzaje nie najlepsze, dawniej ziemia bardzo rodziła, teraz już grunta jałowe. Pszenicy nie uprawiają wcale, bo się najlepiej nie rodzi, a zresztą ptaki wszystko zjedzą. Ziarna przechować niepodobna z powodu rozmaitych owadów, które niszczą zboże i kukurydzę. Najwięcej uprzykrzone są różnego gatunku mrówki—nazywają je mroczkami. Wszystko zjedzą i poniszczą ziemniaki, kapustę i t. d.

Tyle ciekawych rzeczy miałbym do opisania, ale już i tak dość obszernie się rozpisałem, zostawię to na drugi raz.

Z listów o. Beyzyma, pisanych do ks. M. C. Podajemy co następuje, ku pożytkowi moralnemu naszych czytelników. O. Beyzym poświęcił życie ratowaniu trędowatych na wyspie Madagaskarze, od których wszyscy się odsuwają. Wystawił dla tych nieszczęśliwych szpital z ofiar ludzi ożywionych duchem miłosierdzia chrześcijańskiego. Oto wyjątek z listu tego świętobliwego kapłana.

Oddawna zbierałem się napisać do Ojca, ale nie mogłem, tak mi się fatalnie nie kleiło, że zbierałem się ciągle, jak czajka za morze, ale zebrać się nie mogłem, zawsze jak nie jedno, to drugie w drogę zaszło i ani rusz! nawet myśli zebrać.

Budowa schroniska dla trędowatych postępuje. Najświętsza Panna z pewnością nie dopuści, żeby dzieło, które sama rozpocząć kazała, nie miało przyjść do skutku, — w to wcale nie wierzę; prędzej czy później, jednak los biednych trędowatych będzie polepszony i zabezpieczony; czasy nie najlepsze, to tak, ale ja mimo to nadziei wcale nie tracę i na nic się nie oglądając, robię, co mogę, żeby budowę przyspieszać.

Zaczyna się już u nas mieć niby ku wiośnie, t. j. ku porze deszczowej, ale dotychczas było sucho, ziemia zatem twarda jak kamień. Zwiedzających nie brak już teraz, zawsze jakiś ktoś się nawinie, a po ukończeniu schroniska, rzecz jasna, że ich będzie mnóstwo, bo teraz wszędzie tylko o tej budowie gadają. Z tego, co wiem, jak jest na Madagaskarze, zdaje mi się, że nasze schronisko będzie budową pierwszorzędną jako budowa, a jako szpital, to na pewno będzie pierwszorzędnym. Naturalnie, że wszyscy zwiedzający są, jak zwykle na całym świecie się dzieje, rzeczoznawcami i każdy spieszy z praktyczną radą; czy się znają na rzeczy, to pytanie, na które odpowiedzi twierdzącej jeszcze niema, ale sami mają się za rzeczoznawców i sypią rady, jak z worka, a każdy co innego i zwykle przeciwnego radzi. Wszystkie te rady i uwagi przechodzą tylko przez moje uszy, t. j. przez jedno wejdą, bo plan mam zrobiony po należytem przejrzeniu wszystkich

pro i *contra* co do najmniejszych szczegółów, zastosowany do potrzeb i wygody moich chorych, obmyślany i zrobiony przez człowieka, znającego się dobrze na budownictwie i t. d., więc od tego planu ani na krok nie odstępujemy. Na zarzut zaś mniemanych rzeczoznawców, że „ogromne sumy wydam, a toż samo dałoby się zrobić taniej", zawsze odpowiadam to samo wszystkim, t. j. że „Matka Najświętszej bogata i łaskawa, a w naszej Polsce ludzie miłosierni, więc jałmużny potrzebne będą miał na pewno, jak dotychczas miałem i wszystko się zrobi na pewno — za jałmużny, które dostaję, jak przed Bogiem, tak przed ludźmi odpowiadam ja tylko, a nie kto inny, niech więc państwo zostawią te obawy memu sumieniu." — Po takiej konkluzyj zwykle mam spokój. Trzeba Ojcu wiedzieć, że tutaj uważają za tańsze to, za co trzeba na razie mniej zapłacić, ale jaka to rzecz, t. j. czy dobra i trwała, czy nie, o tem nie myślą; tak np. dach koniecznie pokryć dachówką, a nie blachą, jak ja pokrywam, bo dachówka znacznie taniej będzie kosztowała od blachy — ale że blacha, choć na razie droższa, przetrwa co najmniej kilkanaście lat bez poprawy, a dachówkę trzeba naprawiać kilka razy co rok i za każdą poprawkę sporo pieniędzy wydać, tego nikt nie rachuje. Bez obawy mogę Ojcu powiedzieć, że tutejsza dachówka nie przepuszcza deszczu, kiedy go niema, a jak pada deszcz na zewnątrz, to i wewnątrz domów też go mają, choć na dachu dachówka leży. Gdyby Ojciec mógł zobaczyć, to na pewno ubawiłby się widząc, jakie miny robią niedowiarki, kiedy im mówię, ze Matka Najświętsza bogata, miłosierna i t. d., zatem wszystko będzie. Wiedzą, że nie miałem ani jednego grosza na budowanie, bo to wszystkim mówię, teraz widzą, że budowa postępuje, więc nie mogą wątpić o tem, że jałmużna nadchodzi. Często mi mówią i piszą ludzie wierzący, dobrzy i praktykujący katolicy: „Niech się Ojciec nie dziwi, że z Francyi tak mało jałmużn nadsyłają, bo u nas tyle dobroczynnych dzieł pozakładano w kraju, że najmiłosierniejsi często są w kłopocie, skąd pieniędzy wziąć na to wszystko." Na to zawsze odpowiadam: „Wiem o tem i dlatego nic nie mówię, i nie śmiem nic mówić, zresztą jałmużna — to łaska, a nie obowiązek, jednak niech zajrzy, kto chce, do Polski, a przekona się, że i u nas, choć czasy ciężkie, jednak dobroczynnych dzieł też mnóstwo, wydatków wiele, bo budują wiele nowych kościołów i naprawiają stare, a mimo to, dobrzy ludzie i o nieszczęśliwych trędowatych nie zapominają i nieraz, za co niech im Matka Najświętsza stokrotnie wynagrodzi, z ostatniego sobie ujmują, a przysyłają na budowę schroniska, a może Bóg da, że nie tylko sama fundacya będzie polską, ale i łóżka, jeżeli nie wszystkie, to większość będzie zakupiona przez Polaków." Spostrzegłem parę razy, że tak gadając, niejednego

trochę ukłółem; przykrości nie chciałbym zrobić nikomu, ależ trudno znowu, żebym mówił inaczej, bo byłoby to nieprawdą.

Posyłam Ojcu fotografie, które udało mi się zrobić, z nich może Ojciec choć trochę powziąć wyobrażenie, ile trzeba było ścinać góry i o ile robota postąpiła. Fotografiie wyraźniejsze być nie mogą, bo czas mamy tu obrzydliwy — pochmurno i mroczy kapuśniaczek taki, co to za mały, żeby go deszczem nazwać, a większy znowu od rosy, a wicher przytem ustawiczny. Bywają i śliczne dnie, to tak, ale fotografuje się wtedy, kiedy fotografa dostać można, a nie wtedy, kiedy pogoda, a względnie światło byłoby po temu. Trudna rada, tak to już zwykle się dzieje na tym świecie, że niema kącika bez krzyżyka. Ja znowu cieszę się bardzo na myśl, że jak Bóg da doczekać, to za jakie lat dwa najwięcej, ukończy się cała budowa i będę miał Najświętszy Sakrament w kościołku wprawdzie ubogim, jak na nas żebraków przystoi, ale całym, t. j. nieciekącym i czyściutkim, jak tylko być może. Dotychczasowe tułactwo ze Mszą, to prawdziwy czyściec dla mnie; w tych szopach ciekących i wiecznie zaprószonych, ani Najświętszego Sakramentu mieć nie można, ani należycie nawet do Mszy świętej wszystko przysposobić. Pan Jezus wszędzie obecny i zawsze nas widzi i słyszy, mimo to zupełnie inaczej człowiek się modli przed Najświętszym Sakramentem, niż w domu.

Jak się Ojcu wydaje obecna rama, w której Najświętsza Panna Częstochowska będzie na nowym ołtarzu, trochę niby pokaźniejsza od tej, którą przedtem zrobiłem? Najświętsze Imiona są jak przedtem u góry i u dołu, tylko z gałązek, więc na pierwszy rzut oka nie spostrzeże kto nie wie, że są. Musi na razie Najświętsza Matka zadowolnić się tą lichotą, bo widzi przecie Sama, że czem chata bogata, tem rada — zrobiłem, jak mogłem, a lepiej nie potrafię.

Na str. 113 załączamy illustracyę pięknej ramy do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, przeznaczonego do nowego kościoła w Marana.

Poręba Mrzygłodzka. Filia parafii Ciągowice—Poręba Mrzygłodzka jest miejscowością fabryczną. Mieszkańcy tutejsi, jak i blizkich wiosek wzbudzają wiele sympatyi swojemi przymiotami. Ludek pracowity, garnący się do kościoła, dbający o chwałę Bożą i mniej zepsuty od mieszkańców samego centrum Zagłębia Dąbrowieckiego.

Mając daleko do kościoła parafialnego w Ciągowicach, przed paru laty wystarali się u Władz o pozwolenie na budowę u siebie kościoła filialnego. Pospieszyli z groszem i z pomocą. Toteż w krótkim czasie uwieńczyli swe dzieło dobrym skutkiem. Od trzech lat mają u siebie stałego kapelana i nabożeństwo.

W tym roku jubileuszowym podążyli ze swym kapelanem ks. Pendzichem na Jasną-Górę, aby złożyć podziękowanie Bogu i Niepokalanej Maryi Najświętszej za szczęśliwe wybudowanie kościoła, za odebrane łaski i prosić o nowe dobrodziejstwa na dalsze życie.

Pielgrzymka do Jerozolimy. Podczas narad przewodnika pielgrzymów warszawskich Adama Koziarskiego z J. E. Patryarchą Jerozolimy ks. Ludwikiem Piuve, z dyrektorem Hospicium franciszkańskiego „Casa-Nova" O. Filipem, wreszcie z ks. dr. Stanisławem Trzeciakiem, zapadła uchwała, ażeby pierwsza pielgrzymka z Warszawy do Ziemi Świętej wyruszyła dnia 23 lutego 1905 r. (pociągiem kuryerskim kolei terespolskiej o godz. 3 po południu).

Podróż trwać będzie około 50 dni, powrót zaś do Warszawy nastąpi w pierwszej polowie kwietnia r. p. przed świętami Wielkanocnemi.

Koszty obliczone zostały na: 320 rb. dla klasy III i 480 rb. dla kl. II. Rodziny i grupy, najmniej z 5 osób złożone, otrzymują ustępstwo. Osoby, życzące sobie odbyć podróż dodatkową, dłuższą, po Afryce i Egipcie, z przystankiem w Grecyi, dopłacają rb. 180 (nie mniej jak osób 30.)

Bagaż dla każdego z podróżnych dozwolony do 60 funtów wagi.

W koszty podróży wliczono opłaty za: koleje, okręty, statki parowe, łódki, powozy, dorożki, tramwaje, wielbłądy lub muły, 2) noclegi z utrzymaniem całkowitem, tam i z powrotem, na kolejach, okrętach, w hospicyach i w hotelach, 3) za tragarzy, przewoźników, składowe, usługi, napiwki etc., 4) za pasporty ruski i turecki, wizy w konsulatach i świadectwa komór celnych, 5) za bilety wejścia do muzeów, meczetów, mauroleów, miejsc pamiątkowych i innych, godnych zwiedzenia, 6) za kąpiele morskie, wanny, łaźnie lub prysznice, 7) za straż przyboczną podczas wycieczek — arabską lub turecką, kawasów, dragomanów przewodników, zamówionych do oprowadzania po wszystkich miasrach, 8) za kwarantannę i opłaty lekarskie, 9) za telegramy, listy, marki, podania, druki i korespondencye i 10) za ubiór pielgrzymi wschodni: gromnice i pranie bielizny.

W program podróży do Warszawy wchodzą: Odessa, pobrzeże Bosforu, Konstatynopol z przedmieściami: Peru, Galata, Stambuł i Skutari, Smyrna, Tripolis, Beyrouth, Jaffa, Jerozolima, Betlehem, San Giovanni (Ś-ty Jan) Jordan, Jerycho, morze martwe, góra Oliwna, Betania, Ogród Getsemański, Dolina Józefata. W dłuższej zaś podróży po Afryce i Egipcie: Port-Said, Kanał Sueski, Aleksandria, Kanał Machmudia, Kair Gizeh, Gezireh, Pyramidy, Hellonan, Materich, Heliopolis i Luxor, w Grecyi zaś Ateny.

Zapisy trwać będą do dnia 20 grudnia r. b. w lokalu na Nowym Świecie Nr. 49, od g. 12 w południe do g. 4 po południu, codziennie, z wy-



Afryka — Madagaskar. Nowe ramy do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, wyrzeźbione przez O. Beyzyma, Polaka, dla kościołka trędowatych w Marana, podług fotografii.

jątkiem świąt. Adres dla listów i telegramów: „Adam Koziarski, Warszawa, Nowy-Świat Nr. 49.“ Do listów należy dołączać markę na odpowiedź.

Zgłoszenia późniejsze, do dnia 15 stycznia 1905 r. ulegają podwyżce cen, zgłoszenia zaś przed samym wyjazdem, za żadną cenę uwzględnione nie będą.

A. K.

Figura jubileuszowa Niepokalanej Panny Maryi we wsi Wysokienice, w księstwie Łowickiem. W pierwszym dniu rozpoczęcia tegorocznego jubileuszu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w archidyecezyi Warszawskiej, t. j. 1 września uroczyście została poświęconą we wsi Wysokienice, powiatu skierniewickiego, figura Bogarodzicy Niepokalanej, jako dowód miłości i hołdu całej parafii wysokienickiej. Figura ta, artystycznie odrobiona z kamienia szydłowieckiego, ma wysokości wraz z podstawą $6^1/_2$ łokcia.

Na podstawie z frontu wyryty jest napis: „Królowo bez grzechu pierworodnego poczęta — módl się za nami!“ z tyłu zaś — „Pamiątka jubileuszowa Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny 1854—1904.“ Po nad głową Niepokalanej unosi się aureola z gwiazdek złocistych. Obok figury dwie latarnie ozdobne na żelaznych słupach dopełniają pięknej całości.

Dodać jeszcze należy, że klomb obsadzony kwiatami i kwitnącemi przez całe lato krzewami ma kształt serca, w środku klombu wodotrysk z figurą aniołka pięknie harmonizuje z całością.

Przed tą figurą w soboty, wigilie uroczystych świąt i we wszystkie niedziele i święta parafianie wysokieniccy gromadzą się, ażeby zgodnemi głosy pobożnych pieśni zaświadczyć swoją miłość i chęć oddania należnego hołdu Patronce i Pośredniczce nas wszystkich — Najświętszej Maryi Pannie.

Włodawa. W dniu 4 października, zmarł w Kaliszu ks. Konstanty Księski, kanonik honorowy kolegiaty kaliskiej, rektor kościoła po Bernardyńskiego w Kaliszu, przeżywszy lat 63.

Zmarły cieszył się powszechnym szacunkiem i miłością wśród kaliszan. Życie jego było ciche, pracowite i pełne cnót chrześcijańskich. Był miłosiernym opiekunem ubogich i sierot, a szczególniejszą pieczą otaczał maluczkich, dla których miewał osobne nauki w kościele po-Bernardyńskim, oświecając ich młodociane umysły i serca, zachęcając do dobrego.

Miłosierdzie jego do tego stopnia było posunięte, że nieraz odmawiał sobie posiłku, aby tylko nakarmić biedne dzieci. Pełnił tym sposobem wolę Boskiego Mistrza i stosował się do słów Jego: „Dopuśćcie dziateczkom przyjść do mnie“. Był także przewodnikiem młodzieży bę-

dąc prefektem b. szkoły realnej prywatnej, a także nauczał religii w szkołach elementarnych. Na tem stanowisku umiał zaskarbić sobie miłość uczniów, których łagodnością swą nakłaniał do dobrego, karcąc przytem na każdym kroku złe obyczaje i wady, tak w szkole, jak i w konfesyonale, bo był też dobrym spowiednikiem młodzieży.

Kościół powierzony swej pieczy o ile mógł odmawiał i ochraniał od ruiny i zaopatrywał w aparaty kościelne; między innemi jego staraniem kupiony został obraz do wielkiego ołtarza, dużych rozmiarów, przedstawiający: „Ukrzyżowanie Chrystusa“ pędzla miejscowego artysty-malarza p. Józefa Balukiewicza, b. profesora rysunków w b. szkole realnej prywatnej.

Słowem był to kapłan miłosierny, charakteru prawego, pełen cnót, któremi świecił przez całe życie, a jako taki zostawił po sobie wdzięczną pamięć w sercach wszystkich, którzy widzieli jego cnoty i uczynki chrześcijańskie.

I. W.
Jeden z uczniów zmarłego.



NIE ZABIJAJ!

Czy wódka jest środkiem ochronnym dla zdrowia?

Może czytając niniejszą pracę, pomyśleliście: Jeżeli wódka nie jest środkiem pożywienia, nie ma własnej odżywczej siły i nie należy jej pić nawet po kilka kieliszków dziennie, to przecie czasami w innym kierunku dobrze ona działa, a mianowicie:

Ociepla ona podczas zimna i ochrania podczas gorąca, a dla tych, którzy pracują w wilgotnych miejscach, lub mieszkają w niezdrowych mieszkaniach lub muszą przebywać w okolicach wilgotnych, staje się wprost niezbędną".

Takie mniemania, które może czytałeś lub słyszałeś, kochany czytelniku, pochodzą z pewnością od pijaków, aleś nigdy skuteczności tych rad nie doświadczył na sobie.

Połóż rękę na sercu i powiedz, czy cię wódka rzeczywiście rozgrzała?

Łudzisz się. Na kilka chwil zagrzała ci trochę żołądek i wnętrzności, ale niedługo to trwało, bo wnet się znowu oziębiłeś, nawet bardziej niż poprzednio...

Daj się pouczyć przez doświadczonych lekarzy. Prawdziwe ciepło ciała — mówią oni — nie wywołuje się chwilowem działaniem na nerwy żołądka, ale przez zdrowe pożywienie, regularne trawienie, należyty ruch, ciepłe odzienie itd.

Wódka nie jest środkiem pożywienia, ani też nie sprowadza regularnego trawienia, a tem mniej jest środkiem ochronnym przeciw ciepłu. Przez używanie wódki w miejscach wilgotnych łatwiej się nabawić można reumatyzmu lub podagry.

Dla tego też potępiają wszyscy badacze używanie wódki przeciw zimnu, gorącu i w miejscach wilgotnych.

Dzieci — a napoje alkoholiczne.

Czy i kiedy wolno podawać dzieciom napoje alkoholiczne? Na to pytanie odpowiada dr. Gross w piśmie lekarskiem „Wiener klinische Rundschau". Przedewszystkiem wykazuje, że spirytuozy, podawane dzieciom czy chorym, są istotnie trucizną, ponieważ drażnią błonę śluzową żołądka, wywołują choroby organów trawienia, jak np. ostry nieżyt żołądka i kiszek, chorobę wątroby i t. p. Zgubnie oddziaływa alkohol także na mózg dziecięcy, który i tak skłonny jest do chorób zapalnych. W wyjątkowych tylko wypadkach można podawać dzieciom **na wyraźne polecenie lekarza,** jako lekarstwo, a mianowicie, gdy np. w jakiejś chorobie zakaźnej, jak dyfteryi, szkarlatynie, tyfusie, objawia się nagły i silny upadek sił i osłabienie czynności serca podczas kataru żołądkowo-kiszkowego, połączonego z ubytkiem sił, w razie utraty krwi, wreszcie w chorobach, w których trawienie wcale jest upośledzone, jak np. w krzywicy (rhachitis), zołzach (skrofułach) i gruźlicy (tuberkułach).

(D. c. n.)

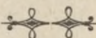


Figura jubileuszowa na cześć Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Wysokienicach, archidyecezyi warszawskiej.

Książki nadesłane do Redakcyi.

Kalendarz na Pogotowie Ratunkowe na r. 1905.

Obfity materyał informacyjny wszechstronnie opracowany w tym kalendarzu — dochód z rozprzedaży przeznaczony na cel szlachetny, bo w imię miłosierdzia chrześcijańskiego, czyni to wydawnictwo bardzo użytecznem i sympatycznem, chętnie więc polecamy kalendarz „Pogotowia Ratunkowego“ naszym czytelnikom.



Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ otrzymała list następujący:

„Rzym, dnia 5 grudnia 1904 roku. Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“.

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie

odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu kardynałów, paręset biskupów i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie we wszystkich językach wygłaszane ku czci Matki Bożej. O „Dzwonku Częstochowskim“ przemawiał kanonik przy kościele Matki Boskiej Śnieżnej, ksiądz Glorieux, w sekcyi prasy, zasypywany przez księży polskich i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Ekscelencya ksiądz Arcybiskup Symon i inni, bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o „Dzwonku Częstochowskim“, jako wydawnictwie, poświęconemu czci Maryi Najświętszej w naszym kraju.

Ks. Kazimierz Grabowski,
Uczestnik Kongresu w Rzymie.

Od Redakcyi.

Czcigodnemu ks. Jubilat. Perz. w Rz. Każde słowo Czcigodnego ks. Jubilata, nacechowane miłością dobrej sprawy, chowamy w duszy, jak perłę drogą. Niech Matka Najświętsza błogosławi Wam i opromienia Waszą sędziwość aureolą miłości i czci należnej Waszym przymiotom duszy.

Szanownemu ks. Wł. Krz. w Or. Szczerze dziękujemy za objawy życzliwości.

Szanownemu ks. 1. Ojrz. w Giż. Nawzajem pozdrawiamy Was serdecznie.

Szanownemu ks. Jus. Pietr. w Dzięc. Przesyłkę otrzymaliśmy. Za błogosławieństwo i dobre słowo braterski uścisk załączamy.

W-nemu P. F. Dyak. — Tom wrześniowy po raz drugi wysłany.— Za życzenia zdrowia i pomocy Bożej w pracy z serca dziękujemy.

W-nemu P. Karol. Now. w Ant. W królestwie znamy 7 dyecezyi: Archidyecezya Warszawska, dyecezye: Kielecka, Kujawsko-Kaliska, Płocka, Lubelska, Sandomierska i Sejneńska.

Szanownemu ks. Cz. Br. w Ostr. Fotografie będą wysłane. Z serca dziękujemy za uznanie dla „Dzwonka Częstochowskiego".

Szanownemu ks. I. Sz. w Łask. Dziękując za życzenia, polecamy się Waszej braterskiej opiece.

W-nemu P. Jan. Jur. w Petersb. Premium wysłane. Niech Matka Boska zsyła na Szanownego Pana swe łaski i błogosławieństwo za dobre serce i przywiązanie do wiary świętej.

W-nemu P. J. Nor. w M. Przekaz otrzymaliśmy. Fotografie wysłane.

Czcigodnemu ks. kan. Świd. w Pet. Przekaz otrzymaliśmy. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1904 r.

Szanownemu ks. J. Matul. w Odech. Za zmianę adresu liczymy 20 kop.

W-nej P. Kat. Osm. w L. Rb. 5 otrzymaliśmy.

W-nemu P. J. Żyjew. w Roz. Przekaz otrzymaliśmy. Premium wysłane.

W-nemu Klimasz. w Jekaterynod. Premium tegoroczne całoroczni prenumeratorzy „Dzwonka Dzęstochowskiego" otrzymają bezpłatnie i tylko, kto życzy sobie otrzymać premium pocztą, dopłaca za opakowanie i przesyłkę 40 kop. Premium to również jak i zeszłoroczne, można nabywać osobno, prenumeratorzy zaś otrzymują po cenach zniżonych.

Szanownemu ks. J. Krzym. w Rych. Prenumerata opłacona do końca roku bieżącego.

Szanownemu ks. J. Szym. w Sk. Za wysłany tom marcowy liczymy Sz. ks. Dobrodziejowi 35 kop.

W-nemu P. St. Fil. w Warsz. Rachunek za prenumeratę do końca roku bieżącego wraz z przesyłką premium wyniesie rb. 7 kop. 90, o czem stosownie do życzenia Szanownego Pana zawiadamiamy. Zaległe trzy tomy wysłaliśmy.

Arioli. Nie możemy się powstrzymać, aby nie przytoczyć wiersza, nadesłanego nam z powodu Wigilii świąt Bożego Narodzenia, p. t.

„Z OPŁATKIEM".

Jakież to błogie były godziny,
Gdym do Wigilii siadała,
U drogiej matki w gronie rodziny,
Opłatek z niemi łamała.
Dziś znikły dawno te miłe chwile,
Jak znika opadłe kwiecie,
Bo ukochani śpią już w mogile,
Zostałam sama na świecie.
Zasiądę smutna do pustych stołów,
Czegóż się będę weselić?...
Kiedy tym śnieżnym chlebem Aniołów
Nie mam się z kim już podzielić?...
Więc łzawe oczy wznoszę w lazury,
Gdzie Ta Najświętsza Patronka,

Myślą wzlatuję do Jasnej-Góry,
I ślę... opłatek do „*Dzwonka*“!
Może modlitwa duszę ukoi,
Bóg tylko będzie łez świadkiem,
O, Przewielebni, o, bracia moi,
Z Wami się dzielę opłatkiem!

„Uwiadamiamy Szanownych Prenumeratorów, że Agencya „Dzwonka Częstochowskiego" w Łodzi, istniejąca dotychczas przy księgarni p. Władysława Kaczmarka, została przez nas zwiniętą."

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Kto życzy sobie odbierać „Dzwonek Częstochowski“ w r. 1905, raczy zawiadomić nas jaknajwcześniej, choćby paru słowami, na karcie pocztowej. Da nam to możność obliczenia, ile egzemplarzy „Dzwonka Częstochowskiego“ potrzeba będzie drukować w roku przyszłym, a Szanownych Prenumeratorów uchroni od przerwy w odbiorze pisma.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną-Górą.

